

22576

A POLSKĄ MA- CIERZ SZKOLNĄ



TOWARZYSTWO LITERATÓW
I DZIENNIKARZY POLSKICH
W WARSZAWIE, MAJ 1918 ROKU

CENA 80 FENIGÓW.

Od Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich.

Ustalonym od szeregu lat zwyczajem, Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich przynosi Polskiej Macierzy Szkolnej niniejszą wiązaną prac kilkadziesiąt autorów, którzy stanęli chętnie do apelu, aby złożyć swą ofiarę na rzecz oświaty narodowej.

Nadmiernie podniesione koszty wydawnictwa (w pierwszym rzędzie papieru) nie pozwoliły, niestety, zużytkować całego, nader obficie nadesłanego materiału do „Jednodniówki”. Odpasć musiała dość znaczna ilość cennych prac, zwłaszcza takich, które nadeszły po wskazanym terminie.

Wydawnictwem kierowali pp.: Ignacy Dąbrowski i Jan Lorentowicz.

Na czele organizacji pań, które podjęły sprawę rozprzedaży „Jednodniówki” na Polską Macierz Szkolną, stanęły pp.: Lucyna Kotarbińska, Alina Sosnowska, Janina Kociatkiewiczowa i Janowa Nowicka.

SPIS AUTORÓW:

Baliński Ignacy	1	Lemański Jan	36
Bęczkowska-Grot Wanda	1	Łaszczyński Witold	33
Daniłowski Gustaw	3	Łozińska Konstancja	39
Dutlinger Edward	3	Miecznik Antoni	37
Dzikowski Stanisław	4	Morawska Zuzanna	32
Dicksteinówna Julia	5	Modrzejewski Teofil	41
Ejsmond Julian	8	Makowiecka Michalina	37
Gomulicki Wiktor	9	Niedźwiedzki Wł.	39
Gruber Henryk	19	Niedźwiedzka-Muklanowicz Zofja	42
Glass Jakub	11	Nusbaum Henryk dr.	18
Gamaston	6	Przewóska M. C.	45
Hornowska Marja	15	Przysiecki Feliks	44
Hoffman Karol	16	Pilecki Antoni	43
Hajota	12	Parczewska Melanja	32
Hładki Zygmunt	59	Roman Michał	46
Jankowski Józef	23	Rabska Zuzanna	49
Jankowski Edmund	21	Radliński Ignacy	47
Jankowski Czesław	19	Sękowski Konstanty	41
Kujawski Kazimierz	25	Sosnowski P.	48
Kopczyński St. dr.	26	Słonczyńska Anna	51
Kończyc Tadeusz	28	Szycówna Aniela	50
Kotarbiński Józef	29	Święcicki Julian	52
Kosmowski I. W.	56	Szmigielski Jan ks.	49
Kleszczyński Zdzisław	31	Sienkiewicz Z.	54
Kr. Al.	24	Tom Alfred	51
Kempner St.	42	Walewska Cecylja	54
Karski Michał	38	Wroński Henryk	58
Kwietniewski Jan	34	Wojnarowska Zofja	55
Lechoń	34	Zarzecki Lucjan	59

Odwolujemy się do czytelników z prośbą, aby zechcieli zwrócić baczną uwagę na dział ogłoszeniowy i pamiętać o tych firmach, które poparły wydawnictwo „Na Polską Macierz Szkolną.”

Kraushar Warszawa 22546 12. III 32

NA POLSKĄ MACIERZ SZKOLNĄ

X-54518
22546

TOWARZYSTWO LITERATÓW I DZIEN-
NIKARZY POLSKICH W WARSZAWIE.



5-

...BO JEST SPRAWIEDLIWOŚĆ!

Błogosławiony, kto w duszę bliźniego
Zdoła wlać radość, jak promyk do celi,
Kto ze stubarwnych tęcz ludzkich nadziei
Choć jedną smugę do stóp mu uścieli.

Błogosławione i godne szacunku,
Jako rodzica spracowane dłonie,
Są te, co ziarno oświaty złociste
Choćby na jednym posiały zagonie.

Błogosławione po trzykroć i święte,
I jako matki rodzonej są ręce,
Co choćby jedno wypełnią niewinne,
Jedno marzenie dziecięce!

.....
Ziemia się trzęsie, przewala się przemoc...
Azali świadectw brak nam jeszcze ninie,
Że każdą zbrodnię własna kłatwa ściga!...
Tak samo — żaden prawy czyn nie zginie.

Ziemia się trzęsie, przewala się przemoc, —
Choć ogniem bucha, olśniewa bułatem,
Bądźmy cierpliwi! Bo jest Sprawiedliwość
I własnym torem kroczy ponad światem.

Ignacy Baliński.

W SZKOLE.

Bronek wpadł ze szkoły do domu rozpromieniony.

— Wie mamusia, mamy już samorząd... Wiśniewski wybrany prezesem, Gutecki sędzią, Blajfisz skarbnikiem... Wiwat trzecia klasa!

— Bardzo pięknie, mój synku! — ucieszyła się matka. — Wiesz, jak tego pragnęłam... To tak miło swoim wysiłkiem coś tworzyć pożytecznego...

— I wszystko będzie tak, jak ty mówiłaś. mamol... Będziemy pomagać sobie wzajemnie, wszelkie spory sądzić będzie sędzia, a prezes w imieniu całej klasy, skargi lub żądania nasze przedstawi dyrektorowi lub wychowawcy...

— Doskonale! No, a ty, żadnego urzędu nie piastujesz? — rozśmiała się.

— Nie, mamol

— To i dobrze. Nie pragnę tytułów dla ciebie, bo i bez tego można być użytecznym.

Bronek snuł dalej wątek pogodnie rozbudzonych myśli.

— Teraz dopiero będzie porządek w naszej klasie... Każdy zły czyn zapisany będzie w t. zw. księdze wykroczeń. Niechby się teraz przytrafiła taka kradzież książek, jak przed miesiącem... Oho! Jaby pierwszego głosował, aby temu co ukradł, nie podawać ręki. Ale wszyscy, jak jeden. To już najdotkliwsza chyba kara, nieprawdaż, mamusiu? Ale trudno. Trzeba napiętnować takiego, co całej klasie wstyd przynosi. Może teraz i bójki ustaną i żarty z profesorów...

— — — — —
W międzyczasie matka pytała nieraz ciekawie...

— Cóż tam wasz samorząd, chłopcze?

— A nic... — odpowiadał Bronek chmurnie. — Tak jakoś dziwnie... Chyba gorzej jeszcze niż było...

Zauważyła, że coś się psuło w charakterze Bronka. Coś nurtowało młodą duszę, wyganiając z niej życiodajne czynniki: spokój i wesołość.

W łagodnych dotąd jego oczach zapalały się coraz częściej błyski gniewu, szyderstwa, harmonizując z gorzkim uśmiechem ust, wykrojonych mięką, delikatną linią jak u dziewczynki.

Bronek potrafił teraz godzinami siedzieć nieruchomo w oknie, z tępą zadumą wpatrując się w nagie czuby drzew i beśsloneczne nad nim niebo.

— — — — —
— Proszę nie ruszać dziennika... — wołał rozpaczliwie Bronek. — Ja jestem dyżurny i nie pozwolę.

— Daj mu tam sółkę w bok...

— Wsadźcie mu kułak w zęby, aby milczał...

— Puśćcie na niego Biedera... On się z nim rozprawi...

Bronek wciąż prosił:

— Wiecie przecież, jak surowo zabronił wychowawca ruszać dziennik...

— To też odsiedzisz kozę... — ze złą uciechą krzyczał mały Wojtecki.

Bronek spojrzał zdumiony.

Ten Wojtecki... najmłodszy w klasie... Bronek opiekował się nim zawsze, nadstawiając karku.

— Gdzież prezes? — ożywił się na gle. — Że też ja zapomniałem... Wiśniewski, pomóż mi odebrać dziennik...

Wiśniewski ani drgnął.

— Więc idę do wychowawcy. Moim obowiązkiem jest pilnować jego rozporządzeń... No, po raz ostatni pytam: oddacie?

— Nie oddamy! — zawołał Zakrzewski, unosząc roztrzęsiony dziennik ponad głowami chłopców.

Bronek po chwili wprowadził wychowawcę. Ale nim tenże zdążył otworzyć usta, uczniowie syknęli *unisono*: Szpieg Brzostowski. Zdrajca.

— Cicho! — krzyknął wychowawca. — Brzostowski spełnił swój obowiązek... Dyżurny odpowiada za nieporządku w klasie...

Po jego wyjściu, zwołano momentalnie zebranie i uchwalono jednogłośnie:

1) Nie podawać ręki Brzostowskiemu w ciągu tygodnia;

2) Wpisać opinię o nim kolegów, w księgę wykroczeń...

Bronek stał niemy, osłupiały.

Szarpał nim ból i odezwało się poczucie niezasłużonej krzywdy. Kara, którą on chciał piętnować złodzieja, spotkała jego samego za wypełnienie obowiązku.

— — — — —
Nazwa „szpicla“ i najgorszego kolegi przyklepiła się od tej chwili do Bronka. Zaczęły się nieustanne prześladowania. Bronek, przekonany o swej słuszności, zwracał się niekiedy do wychowawcy o pomoc, ale to utrzymywało jeszcze opinię, jaką o nim

powzięto. Prąd ogólny do tego stopnia był silny, że uległ mu nawet wychowawca.

Przy wręczaniu cenzury, zwrócił się do Bronka z napomnieniem.

Bronek słuchał na pozór spokojnie. W pamięci jego przewijały się szeregi faktów, które on właśnie uważał za dowody koleżeństwa. Różne przysługi oddawane kołegom, kosztem odmówienia sobie czegoś, na co składał mozolnie pieniądze, ślęczenie w nocy nad rysunkami kolegów, dla poprawienia im stopnia, występowanie zawsze w obronie słabszych i pokrzywdzonych, dzielenie się swemi okazami przyrodniczemi, o które nawet w głębi duszy był zazdrośny—to wszystko było niczem!..

— — — — —
Bronek z rozmachem rzuca na stół cenzurę.

— Masz! Ciesz się! Są cztery dwójki!

— Bronek!

— Tobie je zawdzięczam, mamol! Twoje rady i nauki wypłyły mi myśli z głowy; zabiły duszę... Pokazałaś

mi życie całkiem inne, niż ono jest... Te ideały twoje: koleżeństwo, prawda, solidarność, obowiązek—to szopka, komedia... To jest bezużyteczne... Mnie za to karzą... Wy-mówki czynią... nie podają ręki... Te dwójki w cenzurze, to twoja zasługa... Ja zamiast uczyć się, słuchać wykładów, obserwuję tę obcą mi teraz gromadę, myślę, przetrwam... Uczyniłaś ze mnie to — że jestem *sam*, pomiędzy nimi i tak już będzie zawsze...

Spuściła głowę, ogromnie zniechęcona w pocuciu słuszności tych zarzutów.

— Więc jeśli uznajesz, że tamto jest lepsze, idź za *nimi*...

Zerwał się z odruchem wstrętu, wyciągnął ręce, jakby odpychając coś od siebie.

— Niel Niel

A po chwili namysłu, przygarniając się do matki z nagłym uspokojeniem:

— Zostaniemy *sami*... — wyrzekł z mocą.

Wanda Groń-Bęczkowska.

— *Tyle cierpienia i tyle tęsknoty,
A nic się, a nic na lepsze nie zmienia.
I tylko wiecznych marzeń anioł złoty
Od pokolenia płynie w pokolenia,
Każdy na moment skrzydłem krwawo wzruszy,
Mija i straszny żal zostawia w duszy.*

G. Daniłowski.

ORGANIZACJA.

W walce przeciw surowej przemocy kapitału jeden środek zaledwie okazał się zbawienny i obronny: organizacja słabszych, lecz wtedy tylko, gdy zorganizowani przez swoją ilość stanowić będą siłę, dyktującą prawa. Takiej siły w swoich partjach lub kooperatywach wytwórczo-

spożywczych społeczeństwo nasze nie umiało jeszcze ani scentralizować, ani wyłonić, dla tej prostej przyczyny, iż polacy są zbyt indywidualni. Mamy te same wady jako członkowie narodu, co uczeni, artyści i literaci, którzy pomimo wysoko brzmiących słów kolegiałności i idealizmu są pełni zawiści względem siebie... Polacy nie chcą być obje-

ktami, które spokojnie współdziałać mają dla całości i z przekąsem wskazują na narody, acz różniące się ideami i hasłami, a jednak podporządkowujące się rozumnie celom całości. Jesteśmy solistami, których wartość polega na indywidualności, ale z orkiestrą społeczną zgrać się i stworzyć harmonję nie jesteśmy w stanie. Nie oczekujemy jedno-myślności lecz taktu i celowości dla dróg rozmaitych. Jeżeli pod względem politycznym mamy na myśli *dobro ojczyzny*, to pod względem gospodarczym *dobrobyt narodu*, gdyż jedynie na podstawie dobrobytu można zbudować życie wyższe, o ile fundamenty tej budowy będą dość głębokie i szerokie oraz tak dobrze obliczone, by na stopniach swoich i piętrach utrzymać wygodnie i dostatnio wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, od robotnika i chłopca, do milionera i ministra.

Organizacja jest rozumem, mózgiem narodu podporządkowującym własną indywidualność, nawet genialność *celom ogólnym*.

Edward Dutlinger.

DWIE PROCESJE.

Było to w roku 1913-ym.

Kiedy wyszedłem na ulicę Chętma, jaśniała wszędzie przepiękna pogoda. Na górze soborowej ciepły wiatr szumiał lekko pomiędzy gałęziami drzew, a świeża zieleń krzewów zdawała się poić drgającymi promieniami słońca.

Ponieważ był ranek na ulicach, nie było widać tak zwanej inteligencji.

Tylko od czasu do czasu chłop w białej świtce i wielkim słomianym kapeluszu przeciąga zwolna. Gdzieś tam stoją niewielkie ich grupy i rozmawiają, gestykułując niedbale.

Wtem od soboru poczynają bić dzwony hucznie, przeciągle. Metalicznym dźwiękiem przesycają po-

wietrze i rzucają dokoła drgnienia ostre i gwałtowne.

Zdaje się, że zaleją niebawem niepowściągliwą swą rozrzutnością całe miasto, poruszają w końcu wszystkich i porwą przemocą. Wołają tak potężnie i władczo, że chyba nikt im się oprzeć nie potrafi.

Ale gromady chłopów stoją tak jak stały — rozmawiają spokojnie dalej, nie odwracając nawet w tamtą stronę głowy. Nigdzie nie widać śladu żadnego wrażenia. Nikt się w tę stronę nie patrzy nawet, nikt tam nie śpieszy. Jakaś lodowata, nieprzewyciężona obojętność jest w ich spokojnych, niewzruszonych postaciach.

Nie słyszą... nie chcą słyszeć!

Wreszcie po białych schodach szerokich i lśniących, zstępuje zwolna maluczki, nikły orszak.

Zaczepiam pierwszego lepszego przechodnia i pytam:

— Co to takiego?

Pocziwy mieszczanin drapie się kontemplacyjnie w głowę i z filuterynym uśmiechem odpowiada:

— To, panie, procesja. Idą na wieś święcić ziemię.

— Któż to idzie?

— Ksiądz prawosławny ze swoją parafją.

— Więc to cała parafja?

— Tak panie, cała...

Procesja podchodzi bliżej i można ją obejrzeć dokładnie. Przodem kroczy duchowny prawosławny w złocistym ornacie, za nim jego parafja. Liczę skrupulatnie jednego po drugim i dochodzę do liczby piętnastu.

Ale dzwony huczą za tysiące.

Dwie baby śpiewają z całych sił jakąś pieśń nabożną, pomaga im pan z długą brodą, ubrany w czarny, odświętny tużurek.

Kilku chłopów postępuje powoli z boku, miętosząc w dłoniach barankowe czapki. Od czasu do czasu rzucają z podełba ponure spojrzenia.

Zwolna procesja znika na zakręcie ulicy, przez chwilę słychać jeszcze piskliwy falset niestrudzonych śpiewaczek i bas pana w czarnym surducie. Po chwili ginie i to.

Tylko dzwony huczą jeszcze długo, bez wytchnienia.

W kilka godzin później, widziałem procesję katolicką. Na tak zwanym cmentarzu, okalającym kościół, zaległ tysiączny tłum zwartych głów. W ciemnem wnętrzu kościoła widać było twarze skupione, pracujące jakimiś uporczywemi myślami. Zewsząd padały westchnienia z trudem tłumione, gdzieś z ukrycia wyrastały tajemnicze szepty i ciche, przenikliwe jęki. U ołtarza ksiądz wznosi w górę złocisty kielich i oto chylą się głowy pokornie, w niemem wzruszeniu. Po chwili młode dziewczyny w białych, niepokalanych sukienkach rozwijają barwne chorągwie, pod baldachimem kroczą ku nam ksiądz, owiany dymem kadzideł. W jednej chwili tłum cały łamie się i rozstępuje, aby wycią-

gnąć się w długim, nieskończonym łańcuchu procesji.

Wcisnąwszy się głęboko w żelazne sztachety, zostaje na miejscu.

Zwolna posuwa się ku mnie ta armia z krzyżem na czele.

Łopocą niespokojnie rozwinięte chorągwie i brzmi przejmująco chóralna pieśń, dźwiękiem dzwonów kołysana. Wydaje mi się, że to jakiś pochód męczeński wyruszył w drogę żmudną, daleką. Dziwny, niepojęty zapach widnieje z tych twarzy. Zdają się uśmiechać radośnie do cierni, rozsypanych hojnie po drogach i z rozkoszą pierś wystawiać na krwawe razy. I wówczas kiedy wciąż biją dzwony i pieśń rozbrzmiewa w żalonych, zawrotnych kręgach, wydaje mi się, że z tych twarzy skupionych i poważnych wyrasta jakaś dziwna, niczem niewytłumaczona siła tajemnicza, która w dziejach ludzkości rzuciła już niejedną tłumny zastęp na krwawy szaniec walki....

Stanisław Dzikowski.

WARSZAWIE.

I.

Drogi na tobie ongi błyszczał strój,
Trefiłaś włosy i barwiłaś lico,
Jasność i perły sypał uśmiech twój,
Cóż rozkoszy, królów zalotnico.

Ale motyli odbieżał cię chór,
Z róż purpurowych trysła łza goryczy,
Wydarto ciebie z dworu słońca cór,
I obleczono w habit pokutniczy.

Samotna długi przebolałaś wiek,
Bosemi stopy oparta na Wiśle,
Ręce ci skuto, lecz duch w wyże zbiegł,
Jak pajak w świętym oprządz się zamyśle.

I gdy wśród górnych w skrzydła roślaś mar,
Wiatr w szubienicach skrzypiał Cytadeli,
Szatan ci w strzępy żywe ciało dał,
Duch kołysali pieśniami anieli.

Aż dnia jednego straszny zagrzmiał dzwon,
Rój wyszedł z ziemi krwawego mrowiska, —
Myśl twa dojrzała!... pij z jej pełnych gron!
Przeszłość się łamie, przyszłość w łunach błyska.

Idzie ku tobie głos spełnionych śnień,
Co skrami dołę twą karmiły ćmawą,
Wstajesz na trzeci, złoty chwałą dzień,
Romo plemienia mojego, Warszawo!...

Bo jako dziejów wieczny świadek, Rzym,
Sędziwą trzykroć już odmienił korę,
Ty, Feniks, wzlecisz nad pożarów dym,
I w kwiat zapłonie twoje serce chore.

Przyszłych prawd świata oto pada siew,
Niechaj oraczy łańcuch w polach stawa,
W wiecznej młodości uderzą im śpiew:
La terza Roma i Trzecia Warszawa.

II.

Nie przeto cię kocham, rodzinna Warszawo,
Że niegdyś płaszcz królewskiej zdobił cię chwały;
Duch mój się nie niesie wstecz z dziejów kurzawą,
By przed laurem zwiędłym śpiewać chorały.

Lecz kocham cię za to, żeś duszy dziewczęcej
Stygmat wiary dała i stygmat dumy,
Że świat dziecka niewoli znał głosów więcej,
Niżli chorągwi życia bujne poszumy.

Żem w rannej wiosny porze już śród podziemi
Kręte krużganki zbiegła dla twej obrony,
I że na piersiach płomyk niosąc czerwony,
Jak rycerz zbrojami dzwoniłam ciężkimi.

Kocham cię, boś wzrok dała, co głębiej sięga
Niżli ludom szczęśliwym szlaki otwarte,
Żeś i mnie na swej pracy wpisała kartę,
Że i mojej krwi kroplą lśni twych mąk księga.

Julia Dicksteińówna.

Z MOICH SZPARGAŁÓW

Przed 20 laty, na miejscu, gdzie
dziś stoi okazały Hotel Bristol, był
dom, w którym mieściła się restauracja
Józefa (Norkowskiego). W pokoju od
podwórza stał bardzo duży stół, przy
którym codziennie o I-ej zasiadało
tz. „kolegium”. Członkami byli po
większej części już dziś nie żyjący:
właściciele księgarni z przeciwka
Gust. Gebethner i Rob.

Wolff, redaktor Kurjera, major Oledzki,
profesor Milicer, doktor Patschke,
budowniczy Ciszewski, wynalazca „Gudronitu”
i tem mianem powszechnie nazywany.
Bardzo częstym współbiesiadnikiem
był Prus, który mówił, że przychodzi
tu na śniadania „aby nabrać manjer” —
bywali również Sienkiewicz, dr. Benni
i kilku jeszcze adwokatów, lekarzy i li-

teratów. Pod koniec śniadania graliśmy w „Sancta veritas“ czyli jak nazywał Gudrem w „Dyrzymałkę“, polegający na tem, że brano do ręki pewną ilość małych monet—od jednej z osób obecnych przy stole—i każdy następny zgadywał kolejno—kto zgadł—przegrywał—i dostawał jedną kreskę; otrzymujący 4 kreski płacił za wszystkich za koniak do kawy.

Przy stole było zawsze wesoło, opowiadano różne cenzuralne i niecenzuralne anegdotki, scysję z cenzurą i wiadomości bieżące.

Pewnego dnia lekarz laryngolog opowiedział nam następujące zdarzenie:

— Wczoraj przysłała do mnie młoda żydóweczka, uskarżając się na ból gardła. Po zbadaniu, które wzbudziło we mnie podejrzenie raka dziecięcego, zapytałem pacjentkę:

— Ile lat ma panienka?

— Siedemnasty.

— A rodzice żyją?

— Rodzice? żyją, tylko mama umarła.

— A dawno?

— To może dwa lata w tył.

— A na co mama umarła?

— To ja nie wiem; umarła, jak każdy, na śmierć.

— A na co ona chorowała?

— To ja nie wiem.

— Jakto nie leczyła się—nie chodził lekarz.

— Jak się nie leczyła? chodził doktor, jeden, a potem drugi.

— I nie powiedzieli co matce było?

— To oni powiedzieli, ale tylko do ojciec, co to jest rak...

— A długą matką chorowała?

— To ja dobrze nie wiem, może rok, albo dwa, a może nawet trzy, to jej było lepiej, to znów gorzej, aż nareszcie ona umarła.

— Więc lekarze powiedzieli, że to był rak?

— Tak, proszę pana doktora.

— A gdzie mama miała tego raka? Dziewczyna się trochę zamyśliła—potem odrzekła:

— To proszę pana doktora, mama miała ten rak, to... — znów zatrzymała się.

— Ale proszę mi powiedzieć w jakim miejscu mama miała raka?

— To proszę pana doktora—mama miała ten rak... z przeproszeniem—znów się zatrzymała, jakby zawstydzona.

— Ale proszę panienki powiedzieć, proszę się nie wstydzić, przecież ja jestem doktor.

Dziewczyna opuściła oczy i cicho odpowiedziała:

— To proszę pana doktora, mama miała tego raka... w Nowo-Mińsku...

□ □ □

W jakiś miesiąc po objęciu w 1886 r. stanowiska dyrektora zakładów przemysłowych Tow. Akc. Lilpop, Rau i Loewenstein, woźny zameldował mi hrabinę P.

Do gabinetu weszła średnich lat bardzo elegancka dama z młodziutką córką.

Hrabina, zajawszy miejsce, zwróciła się do mnie:

— Przychodzimy do szanownego dyrektora z prośbą: urządzamy loterję fantową na biednych—i prosimy o fant.

— Czy pani hrabina przychodzi po fant odemnie osobiście, czy od towarzystwa?

— Rozumie się, że od towarzystwa.

— W takim razie jestem w wielkim kłopotcie, albowiem my wyrabiamy: wagony, maszyny i kotły parowe, mosty, powózki, szrapnele, maszyny i narzędzia rolnicze i nagrobki żelazne; żaden z tych przedmiotów nie kwalifikuje się...

— Niech szanowny dyrektor — przerwała hrabina—da nam bociana.

— Tak, tak — dodała hrabianka — najlepiej bociana! Oniemiałem — hrabina, młodziutka hrabianka, żądająca ode mnie bociana... Miałem wtedy 36 lat — dużo rozumiałem, ale to żądanie wprowiło mnie w nielada kłopot...

— Bo my — mówiła hrabianka — już dwa lata temu dostałyśmy tu bociana.

Nic nie rozumiałem. Posłałem po głównego magazyniera, — ten dopiero rzecz wyjaśnił. Rzeczywiście przed dwoma laty ówczesny dyrektor polecił dać „bociana“. Był to odlew żelazny na postumencie w kształcie wielkiej konchy, naturalnej wielko-

ści tego ptaka — z długim węzem w dziobie — skrzyconym w ten sposób: że służył do wstawiania parasoli i lasek w przedpokoju.

Magazynier przyniósł ilustrowany katalog i w dziale odlewów pomników i krzyżów zobaczyłem 2 takie przyrządy, jeden mops służący, z pejcem tworzącym pętlę — i drugi bocian z węzem.

Poleciłem pięknie odlakierować bociana, a węża nawet miejscami po-bronżować, aby mu dodać świetności i odesłałem hrabinie ku jej i córki radości.

Gamaston.

Ukojenie.

*Gdy mi serce tęsknota zalewa,
gdy mi brzydnie cały ludzki świat, —
idę w las, gdzie słodko szumią drzewa,
gdzie radością dyszy każdy kwiat.*

*Każdy ptak o miłowaniu śpiewa,
Czarodziejsko szemrze leśny źródło...
Złote słońce gęstwiny ołśniewa...
Brzęczy w słońcu złotych muszek rój...*

*Wkoło świeżość dzieciennie wiośniana...
Świat skąpany wśród djamentów ros...
Jak weselny krzyk młodego rana
brzmi kukułki rozkochany głos...*

*Jakiś dziwny urok padł na ziemię,
przebudzoną z uśmiechniętych snów...
Cisza słodka woniejąca drzemie
śród paproci i wilgotnych mchów...*

*Idę w las kwiecisty i daleki, —
pozostawiam w dali ludzki świat,
Idę brzegiem śpiewającej rzeki...
Złota radość dąży za mną w ślad...*

*Rzeka śpiewa o szczęściu i płynie...
Nad jej brzegiem szedłem w leśną dal,
aż zgubiłem się w wonnej gęstwinie,
aż zgubiłem z serca dawny żal...*

Juljan Ejsmond.

Z poematu „WIEKI”.

Fragment pieśni pierwszej.

Widzę, jakbym się rozstał z niemi wczora,
Cuda tej starej, praslówiańskiej ziemi:
Odstrzelające dzienny blask jeziora,
Bory z gałęzmi w słońcu czerwonymi,
Zboża, co w świetle mienia się, jak mora;

Srebrne, drgające rzek poszumnych węże,
Gąszcze dziewanny, wrzosów i paproci,
Puszcz serca, których człowiek nie dosięże,
Puszyste łąki, które jaskier złoci,
Groty, gdzie w mroku smok się straszny lęze.

Zakrakał orzeł na dębu wierzchole...
Ogromnem, w słońcu niezmrużonem okiem
Wodzi po skrytym w rannych mgłach padole;
Ucichło ptactwo w omdleniu głębokiem —
Milczy gmin, króla władną słysząc wolę.

Gdzie w ciemnych borach polany słoneczne
Mięką i wonną zarastały trawą,
Pasa się żubry, mądre i stateczne;
Każdy ze ślepiem, które błyska krwawo,
Milcząc, swe dumy przetrawia odwieczne.

Czasem zatętni ziemia, gałąź trzaśnie,
Pierzchnie tur, z drzewa ryś się dziki rzuci,
Wznowią się ofiar i drapieżców waśnie,
Ryk bólu ciszę solenną zakłóci —
Ale o zbójcach drzemią jeszcze baśnie.

W gaj święty wszedłem. O, jak uroczyście
Spiętrzyły się tu drzew ruchome gmachy!
Ciągłą modlitwę odmawiają liście,
Z kwietnych kadzielnic leją się zapachy,
A świecznikami są paproci kiście.

Dokąd bugaju sięgnęła granica
Pokój i całość wszystkiemu, co żyje!
Schron mają pewny: niedźwiedź i łasica,
Sępy i pliszki, wąż nawet i żmije —
Bóstwo dla wszystkich przyjazne ma lica.

Gdy środkiem gąszczów kroczy kapłan biały
Białego Boga sługa i obrońca,
Wszystkie się kwiaty ku niemu zwracały,
Jakby żywiącym promieniem był słońca;
Jemu też ptasie dzwoniły chorały.

On stąpa zwolna, by niebacznym ruchem
Nie spłoszyć ptaszka, nie złamać gałązki,
Nie stracić kwiecica, co wonnym łśni puchem.
Sobie wziął tylko ziemi pasek wężki,
Dla innych szczodrym bez miary jest druhem.

Starzec poznaje i czci duszę świata
W najniższej trawce, w najlichszym motylku;
Za to mu dana królewska zapłata:
Służebnych znalazł w niedźwiedziu i wilku,
Potężny orzeł kocha go, jak brata.

Gdy idzie gajem, ma nad srebrną głową
Koronę z ptaków, niby nimbus żywy;
Wirują nad nim gromadą tęczową
Kraski, turkawki, skowronki z nad niwy;
On im łaskawy rzuca znak lub — słowo.

Jakby przez okno otwarte na wieczność,
Gdzie w blasku wszelki ziemski cień topnieje,
Bije z tych światów ogromna słoneczność,
Budząca życia wiecznego nadzieję,
Zacierająca ziemi z niebem sprzeczność.

Każdej sadybie bocian jest na straży,
Szaleje w sadach stu barw zawierucha,
Każda pasieka gra, jak stu harfiarzy,
Sto aromatów z każdej łąki bucha —
Nad wszystkim orzeł w obłokach się waży.

Człowiek, w tym raju osadzon przez Boga,
Jest, jak źródło górskie, i jest, jak kwiat polny,
Którym nieznane więzy, ani trwoga.
Jego wzrok mówi: — Otom człowiek wolny!
Prócz Bożej, żadna moc nie jest mi sroga!

Jak biała plama, w łąk rzucona zieleń,
Przez urodzaje bezkreśne obszary
Mknie, lekkonogi i chyży, jak jeleni,
W sukmanie białej — podobny, przez czary,
Jednemu z ducha Słowiańszczyzny wcieleń.

U pasa topór, w ręce łuk napięty...
Czasem z toporem w puszcze się zagłębia,
Rąbie; a czasem, w ciemne chmur odmęty
Rzuconym grotem, uśmierca jastrzębia,
Co rzezie sprawiał pomiędzy jagnięty.

Ale ten celny łuk nie puści strzały
W piersi łabędzia, ani w kurkę wodną,
Ani w człowieka. Gdzie Bóg rządzi Białą,
Niczyja dusza tam krwi nie jest głodną,
I nie jest serce niczyje ze skały.

Przez żądzę łupów ludzkość bywa bitna,
Ludy zaborów dręczone są głodem —
Ty jedna tylko, Słowiańszczyzna szczytna,
Kraino, mlekiem płynąca i miodem,
Ty jedna tylko mówiłaś: — Jam sytna!

Dość miałaś tego, co ci odmierzono:
Brogów na polach, bobrowni na rzekach,
Dębów-staruchów z brodą rozwichrzoną,
Barci po lasach, ulów po pasiekach,
Ryb, których natłok wzdymał jezior łono.

Dość tobie było sianokosów woni
I pieśni, które wiatr wśród sosen świszcze,
Albo wyjęcza puszczyk, słowik dzwoni,
Lub gęślarz, zimne rozgrzebując zgłiszczę,
Dobywa z trudem z czasów mrocznej toni.

Wystarczał tobie jeden Bielboh w niebie,
I świat zagrobny, lepszy od ziemskiego,
I myśl krzepiąca, że tam, po pogrzebie,
Wszystko, co w życiu miałaś najmiłszego:
Żona, koń, oręż, powrócą do ciebie...

Wiktor Gomulicki.

W ważnej sprawie kulturalnej.

Inter arma silent musae. Współczesna produkcja literacka w Polsce zmalała do tego stopnia, że literatura piękna tak jakby u nas nie istniała. Tymczasem jednak wciąż ukazują się obecnie w języku polskim arcydzieła, tylko my, współcześni, zdajemy się ich nie spostrzegać. Wychodzi mianowicie w nieprzerwanym szeregu tomów „Biblioteka Boy'a”, zawierająca w mistrzowskich przekładach polskich szereg nieporównanych arcydzieł literatury francuskiej z ostatnich czterech stuleci — takich autorów jak: Villon, Brantôme, Racine, Marivaux, Rousseau, Diderot albo nawet pisma zbiorowe takich gieniuszów słowa, jak Rabelais, Montaigne, Molière.

Ze zdumieniem spostrzegamy, że my, „francuzi północy”, w mniemaniu własnym żyjący przedewszystkiem kulturą francuską, żadnego niemal z tych arcydzieł nie mieliśmy dotąd w literaturze polskiej, przynajmniej w godnych oryginału przekładach.

Gdy w naszych zwłaszcza parafian-skich warunkach życia kontakt z szerokim światem, chociażby przy pomocy piśmiennictwa, jest rzeczą pierwszorzędną wagi, nasuwa się z natury rzeczy pytanie: jakie jest nasze

stanowisko wobec innych literatur, przedewszystkiem wobec literatur tych narodów, z którymi nieubłagana losów kolejną od półtora blisko wieku skazani jesteśmy na współżycie — wobec literatury rosyjskiej i niemieckiej. Stanowisko nasze wobec tych piśmiennictw, krótko mówiąc, jest takie: kierując się instynktem samozachowawczym, staramy się literatur tych unikać i nie widzieć ich wcale. Życie wszakże robi swoje. Młodzież w szkołach z konieczności z piśmiennictwem tego lub innego mocarstwa rozbiorowego się zapozna, na dorosłych zaś wpływ odbija się częstokroć w ten sposób, że jak o tem przekonał wywiad co do czytelnictwa w Warszawie, przed wojną japońską przeprowadzony, stolica Polski pochłaniała wówczas rosyjskich książek więcej raczej niż polskich.

Jak taki stan rzeczy odbija się na rodzimem piśmiennictwie polskim? Nie mamy w literaturze polskiej żadnej dobrej historii literatury rosyjskiej ani niemieckiej, nie przyswoiliśmy piśmiennictwu polskiemu w artystycznych przekładach genialnych utworów: H. H. Dostojewskiego, T. G. Fichtego; nie posiadamy nawet wyboru dzieł Goethego. Wolimy w stosunku do kultu, z którym się ciągle stykamy,

zajmować stanowisko wyłącznie bierne, bynajmniej czynnie na nie nie reagujemy, nie wnosimy do skarbnicy własnej tamtego dorobku kulturalnego i nie staramy się ogarnąć go ze stanowiska kultury rodzimej polskiej. Trudno nie spostrzedz, jak dalece uboży nas duchowo tego rodzaju polityka strusia i, o ile gorzej jesteśmy w ten sposób uzbrojeni do walki o byt. Oświećlimy myśl naszą jednym przekładem: nie posiadamy w literaturze polskiej ani dziełow zakonu krzyżackiego, ani historii kozaczyzny.

W literaturze przekładowej, o ile ta w wyższym znaczeniu tego wyrazu wogóle u nas istnieje, nie kierujemy się żadnym zgoła systemem: posiadamy np. w artystycznej formie dokonany i pięknie wydany przekład dzieł Nietzschego, ale owej wytwornej grupie tłumaczy wraz z zasłużonym wydawcą nie przyszło do głowy, że równolegle należy się literaturze polskiej przekład dzieł Emersona. Przybyszewski, który jest wprost predestynowany do obdarzenia piśmiennictwa polskiego równorzędną Boyowej „biblioteką niemiecką” daje nam sztuczną a płytką *Alraune* zamiast *Hyperiona*, *Lucyndy* albo *Zielonego Henryka*.

Żyjemy obecnie w Królestwie Kongresowem na przełomie dwóch epok: rozstajemy się ze światem rosyjskim, wchodzimy natomiast w pewien kontakt ze światem germańskim. Zanim pisarze nasi zapomną języka rosyjskiego, dla zamknięcia pewnego okresu naszych dzieł, uprzystępnijmy piśmiennictwu naszemu w niektórych ważniejszych utworach dorobek tak zaprawdę oryginalnej a głębokiej umysłowości rosyjskiej. Korzystając zaś z obecnego, czasu wojny, zetknięcia się ze światem niemieckim, starajmy się zstąpić do głębin ducha germańskiego za jego czasów bohaterskich i zapoznajmy się z cudnym światem niemieckiego romantyzmu, który tak zapładniająco wpłynął na umysł Mickiewicza: ze światem Novalisów, Tiecków, Hölderlinów, Hoffmannów.

Dla usystematyzowania pracy nad literaturą obcą, stwórzmy w łonie Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy oddział Literatury pięknej zagranicznej o dwóch sekcjach najważniejszych: rosyjskiej i niemieckiej.

Jakub Glass.

Było to pierwszego roku wojny, zimą, podczas krwawych walk nad Rawką i pod Bolimowem. Warszawa zamieniła się w jeden lazaret, a co druga Warszawianka była sanitariuszką.

Prąd pielęgniarstwa porwał i pannę Ludwikę, tem łatwiej, że zdawna wyczuwając pustkę swej samotnej, bezcelowej egzystencji, pragnęła o coś zaczepić tęsknącą do jakiegoś czynu duszę. Materjalnie niezależna, wolna od troski o powszedni kawałek chleba, nie umiała wytknąć sobie w życiu drogi do określonego celu dążącej. Ta jej chwiejność usposobienia, niezdolność do wyłącznego ukochania kogoś, czy czegoś, sprawiła, że, pomimo urody, i skromnego posagu nie wyszła dotąd zamaż i już trzydziestokilkuletnia wątpiła, czy kiedykolwiek wyjdzie. Kilka razy była bliską małżeństwa i zawsze się jakoś rozchwiało.

Raz zwłaszcza... a była wtedy młodzietką, śliczną dziewczyną, marzące, błękitne oczy początkującego inżyniera rozpały jej wyobraźnię i serce. Byłaby została jego żoną, o! jak ochotnie, gdyby nie to, że zmuszony szukać kariery po za krajem, wyjechał na korzystną posadę w głąb Rosji.

Tego się zlekła... Nie kochała widocznie dość silnie, by wybrany mężczyzna starczył jej za wszystko, co byłaby musiała opuścić dla niego.

Więc rozstali się. — On jeszcze z tamtąd pisywał do niej błagalne listy, boć wiedział, że ma jej wzajemność, a ona wahała się ciągle. — Tak przeszło lat parę. Pannie Ludwice trafiły się przez ten czas różne partje, jedna nawet bardzo, po światowemu mówiąc, świetna. Namawiali ją wszyscy, a już najbardziej matka, która, czując blizki zgon, pragnęła

koniecznie ustalić przedtem los je-
dynaczki.

Tamten w tym czasie właśnie
napisał list rozpaczliwy — niemal
ostatni.

„Nie odstępuj mnie, aniele mój“
błagał — „ja tu tak samotny strasz-
liwie w tem obcem, wrogiem oto-
czeniu, usycham z tęsknoty za Tobą
i „za wszystkim, czego Ty jesteś
upostaciowaniem”. Jeżeli mnie od-
stąpisz, jeżeli mnie wydasz na pa-
stwę tej pustki, której natura moja
nie znosi, czuję, że nie wytrwam,
że zwichnę się duchowo, że stanie
się ze mną coś fatalnego i niecofnię-
tego”.

Panna Ludwika nie odpisała na
ten rozpaczliwy list. „Świetna par-
tja“ oszołomiła ją i uczyniła głuchą
na miętne wezwanie kochanego
bądź cobądź człowieka.

On też i nie odezwał się więcej.

Minęły lata. Projektowane mał-
żeństwo nie doszło do skutku; mat-
ka umarła, panna Ludwika została
sama na świecie. Zapełniała życie
dorywczo, to tem, to owem. Jeź-
dziła zagranicę, trochę niby praco-
wała społecznie, uczęszczała na ja-
kieś wykłady, ale wszystko to czy-
niła bez przekonania, z piekącą
świadomością, że rozminęła się z wła-
ściwym swoim powołaniem żony i
matki.

Taką zastała ją wojna. Panna
Ludwika skwapliwie przywdziała
biały fartuch i czepeczek sanitar-
juszki, chodziła na dyżuryienne
i nocne. Między innemi miała dwa
razy tygodniowo dyżur nocny na
sali ciężko rannych na ewakuacyj-
nym punkcie kolei Wiedeńskiej. Sa-
ła ta była dawniejszą poczekalnią
dla powracających do Warszawy
przyjezdnych. Panna Ludwika przy-
pomniła sobie częste swoje powro-
ty z zagranicy. Gdyby jej kto po-
wiedział wtedy, że na tem samem
miejscu, gdzie stała, oczekując tra-

garza, który poszedł po jej kufer, bę-
dzie za kilkanaście miesięcy ścigała,
klęcząc, buty z nóg rosyjskiego soł-
data, nie byłaby w to nigdy uwie-
rzyła. Dziwne niespodzianki stwarza
nieraz życie; dla niej miało w zapa-
sie jeszcze jedną, najdziwniejszą ze
wszystkich.

Jednej nocy, do pokoiku przy-
tykającego do ogólnej sali, a prze-
znaczonego dla jeńców niemieckich
lub wyższych wojskowych, sanitar-
juszce przynieśli i ostrożnie złożyli
na ziemi oficera, który zdawał się
być nieprzytomnym.

Panna Ludwika znajdowała się
właśnie w pobliżu. Z kubkiem her-
baty, zaprawionej czerwonym wi-
nem uklękła przy rannym, czekając,
aż się ocknie. Światło elektrycznej
lampy padało z góry na jego bladą,
wynędziałą twarz, otoczoną buj-
nym jasnym zarostem.

Pannie Ludwice serce zaczęło
bić gwałtownie. Ta twarz wydała
jej się znajomą. Wtem ranny otwo-
rzył z trudem powieki i jego wielkie,
błękitne oczy nawpół przytomnie
utkwili w pochylonej nad nim sa-
nitarjuszce.

— Aleksander! — wydarł się jej
z ust stłumiony okrzyk.

Ale on zdawał się nie słyszeć.

— *Pit!* — wyszeptał — *pit!*

Drżąc na całym ciele, podsu-
nęła mu jedną dłoń pod głowę, pod
miękkie, obfite, jasne włosy — och!
jak dobrze je pamiętała! i przy-
tknąwszy kubek do zsiniałych ust, na-
poila go ostrożnie, umiejętnie, choć
ręce jej drżały jak w febrze.

Herbata i wino orzeźwiły go.
Spojrzał znów na nią, tym razem
przytomnie.

— *Kto wy? Razwie-li eto mieczta?*
wymówił po chwili, jakby z przestra-
chem.

— Nie poznajesz mnie, panie
Aleksandrze? To ja, Ludwika — odpo-
wiedziała cicho.

Ten sam wyraz przestachu, połączonego z jakimś innem, nieujętem uczuciem odbił się w jego źrenicach.

— Ludwika—powtórzył z wolna — Ludwika... *To wy! To pani!*—po-
prawił się. — Och! Dziwnol

Powieki zaczęły mu się znowu przymykać.

— Ja tak słaby — wyszeptał.

— Napij się pan jeszcze — prosiła — To cię wzmocni.

Uśluchał, ale już nawpółświat-
domie i znów zapadł w senność.

Jak długo przeklęczała przy nim nieruchomo, z pustym kubkiem, z którego, na jej biały fartuch niby krople krwi wyciekały resztki płynu, tego nigdy potem uprzytomnić sobie nie mogła. Trwało to może kilka minut, a może godziny całe. Ocknęła się dopiero, gdy nadszedł doktor, a z nim sanitariusze, mający zabrać rannego do szpitala.

Gdy go przełożyli na nosze i dźwignęli, a on ujrzał ją stojącą obok, z twarzą na wysokości jego twarzy, coś nakształt uśmiechu przesunęło mu się po ustach.

Z niesłychaną trudnością ujął jej rękę, opartą o krawędź noszy.

— Dziękuję — szepnął z wysiłkiem—dobra... ty! dziękuję—I spiecz-
czone gorączką usta do tej, zimnej jak lód, ręki przyłożył.

Panna Ludwika, nie ruszając się z miejsca, patrzyła szklanemi oczyma, jak go ponieśli. Tyle jednak miała przytomności, by zapytać do-
ktora, do którego szpitala go zawiozą. Nazajutrz w rannych go-
dzinach już tam była i znalazła się na sali, gdzie leżał.

Zastała go śpiącego. Wykapa-
ny, ogolony był jeszcze bardziej wy-
mizerowanym, i z temi zamkniętymi
oczyma, leżąc na wznak, sprawiał
wrażenie trupa. Nie chciała go bu-
dzić. Położyła pomarańcze, które

mu przyniosła na stoliczku, a bu-
kiecik fijołków wsunęła w spoczy-
wające na piersiach ręce, jak umar-
łemu. Przyszła tu z myślą posta-
rania się o przyjęcie jej na salę, by
go mogła pielęgnować. Niestety,
szpital był rosyjski, obsługiwały go
wyłącznie „siestrice“.

Panna Ludwika zapytała po
francusku tę, która kręciła się po
sali, o stan rannego.

— *Oh! madame! Il est perdu!*—od-
powiedziała uprzejmie Rosjanka. —
Ma krzyż zgruchotany odłamem gra-
natu. Telegrafowaliśmy...

— *Siestrica!*.. Jęknął ktoś z kąta,
Pobiegła tam śpiesznie, nie dokoń-
czywszy zdania.

Panna Ludwika wróciła nazajutrz
i jeszcze parę dni następnych. Wbrew
zapewnieniu „siostrzicy“ ranny miał
się lepiej. Odwiedziny panny Ludwi-
ki zdawały się sprawiać mu przy-
jemność. Witął ją od progu coraz
jaśniejszem spojrzeniem tych błękit-
nych oczu, które niegdyś umiały być
tak wymowne i uśmiechał się coraz
częściej. Tylko z mówieniem było mu
trudno, podwójnie trudno. Głos miał
bezdźwięczny, ciężko wydobywający
się z krłani i słów mu brakowało, a
te, które znajdował, wymawiał z tak
silnym, rosyjskim akcentem, że
brzmiały jak obce. Widocznem było,
iż odwykł, zapomniał...

To też najczęściej ona siadywała
przy nim, w milczeniu, pozwalając
mu trzymać w dłoniach swą rękę,
którą on, od czasu do czasu, wpiérw
spytawszy oczyma, czy wolno, niósł
do ust.

— Dobra... dobra... — powtarzał
z cicha. Przymykał powieki i zasypiał.

Co działo się w duszy panny Lu-
dwiki, gdy tak godziny całe spędza-
ła przy łóżku tego człowieka, któ-
rego przeznaczenie po tylu latach
sprowadzało znów na jej drogę po
to, by ją wprędce, tym razem na
zawsze z nim rozłączyć? Wiedziała,

że umrzeć musi, ale lękała się zapytać o cokolwiek. Chwilami mówiła sobie z nieopisanym bólem, że to jednak dobrodziejstwo, iż danem będzie jemu spocząć na własnej ziemi, a jej otaczać pamięcią jego mogiłę.

Tak upłynął coś tydzień... Jednego dnia, o zwykłej porze, z pękiem żonkili w jednej ręce, a paczką pomarańcz w drugiej weszła na salę i raptem stanęła na płóciennym chodniku, środkiem pomiędzy łózkami biegnącym.

Przy łóżku Aleksandra, plecami jaskrawą, jedwabną bluzką obciągniętą ku niej zwrócona, stała wysoka, tęga kobieta i poprawiała poduszki, na których spoczywał. W nogach, na kołdrze siedziała dziesięcioletnia może dziewczynka. On patrzył na kobietę i dziecko i uśmiechał się szczęśliwy widocznie. A kobieta głośno, krzykliwie mówiła:

— *Niczewo, Saszeńko, niczewo! Wsio budiet błagopułuczno. Puś! tolko wierniomsta domoj.*

A dziewczynka zaszczębiotała:

— *Uwidisz, papasza, uwidisz!*

Panna Ludwika stała bez ruchu, rozszereżonemi zrenicami wpatrzona w tę grupę. Wtem on, nagle, jakby poczuwszy ten wzrok na sobie, zwrócił oczy w jej stronę. Spojrzenia ich spotkały się.

Dziwny, nieopisanie przykry w tej trupiej twarzy rumieniec buchnął mu na czoło... powieki i usta poczęły drgać, a w błękitnych oczach, które niegdyś umiały być tak wymowne, pojawił się wyraz jakby wstydu, jakby wyrzutu, jakby skargi, jakby prośby o przebaczenie...

Panna Ludwika zrozumiała niemą wymowę tych oczu; zrozumiała tak dobrze, iż żonkile wypadły jej z ręki, a pomarańcze potoczyły się jak złociste kule po szarym chodniku.

Bez słowa, ze zwieszoną nisko głową, jak winowajczyni, odwróciła

się i wyszła z sali. A za nią zdawały się gonić niewymówione wyrazy:

— Nie potępiaj! To twoje dzieło!..

Zaś w głębi zmiażdżonej duszy jakiś głos szyderski jął powtarzać:

— Czynu ci się żądało... Oto go masz... Jedyne, na jaki zdobyłaś się przez całe życie.

Hajota.

W MAJU.

Niesamowita Maya wyszła wczesnym rankiem na rozstaje polnych dróg, po których srebrzą się kwitnące białe cierniny.

Majowe szrony mroziły jej bosc nogi, gdy obiegała liljowe szlaki ziemi od wzgórz, porośniętych w młode dąbczaki, bursztynowym puchem strojne—do pól umalowanych chryzolitem ozimych traw, nad którymi pochylają się głowy samotnych grusz—ulegalek.

W powrocie z tej wędrowki dłonie jej są pełne drobnego, białego kwiatu kolczastej tarni, palce, chciwe kwiecianych dziwów wiosny, nakłute są ostre igłami, włosy przyprószone sadzią, policzki zwilżone rosą.

Idzie przed siebie pół-świadomie, pół-ekstacycznie wpatrzona w przestrzeń, z duchem przyrody własnej stowarzyszona.

Na wąskim przejściu, między torfowiskiem a strumieniem, Pan leśny tamuje jej drogę. Pytaniem ją wita i zatrzymuje. Musi ocknąć się z zadumy i odpowiedzieć natychmiast, aby skrócić chwilę zatrzymania i utorować drogę chyżym stopom, nie żądnym zwłoki.

— Po co? na co? dlaczego? — pyta Pan.

Nie myśli ani przez chwilę nad odpowiedzią. Patrząc po za niego, jakgdyby nie stał przed nią, mówi. (Jej słowa są tęgiem, rogowem skrzydłem owada, każdym ruchem skrzętnie odgarniającego zaporę ze swej drogi).

— Wysłałam bardzo rano na polne rozstaje aby narwać wiele kwiatu, jaknajwięcej kwiatu.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle.

— Wysłałam bardzo rano na ocierzione ścieże, aby zdążyć przed końcem dnia naznosić bardzo dużo kwiatu.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

Niecierpliwe stopy rwą się już het dalej, lecz Pan stoi wciąż przed nią, nie dając przejścia.

— Tam, po za tobą (wskazuje horyzont) jest ciemna, bezbożna komnata śmierci, z oknami osłoniętymi kirem, z okutymi drzwiami, ciężkimi jak ziemski glob. Przed końcem dnia chcę je wyłamać, okna otworzyć wiatrom, policzkującym pleśń, słońcu pokazać zatechłe wnętrze. Przed końcem dnia chcę rozwalić ustawiony przez grabarzy ohydny katafalk i wynieść pustą trumnę, cuchnącą rozkładem trupa.

Przed końcem dnia chcę wygnać lamentujące płaczki najemne, profanujące archaiczne ławnice, chcę zedrzeć ze ścian żałobne kiry i wynieść nagromadzone rupiecie śmiertelne.

U wnijsćia zasadzę złotowonną gałąź wierzby rozkwitłej, odrodzoną z głuchego kołka, na ślepo białego w ziemię i... purpurowo kwitnący modrzew—wyniosły.

Ściany umaluję słońcem, wiatrem pozamiatam wnętrze. Ostry przeciąg powietrza obezwładni kryjących się we wnękach tchórzliwych nieboszczyków żywych. Wyniosę i te trupy — precz z nimi.

Wiatr mi wydiera białe płatki z cierniowych gałęzi, aby osypać nimi wnętrze kaplicy. W srebrne, tarninowe puchy i w złote baze rozkwitłej wierzby ustroi się mroczny przybytek śmierci, w wypełnionych ławnicach zakwitną młode, wiśniowe

we drzewka... Przed końcem dnia muszę wprowadzić zakwitającą, żywą wiosnę w kaplicę śmierci—zejdź mi z drogi — nie widzisz, że mi śpieszno!

Pan czmychnął w las.

Niesamowita Maya uśmiechem wita wolną drogę, otwartą chyżym stopom,—wiatrem wiosennym wieje ku zatrzaśniętym, okutym wrotom, rysującym się jej oczom na horyzoncie.

Słońce zapala rubinowe błyski na jej palcach, pokaleczonych kwiatem cierniny, z rzes strząsa krople rosy, łamiąc się w nich mgnieniem brylantowaniem. Wiatr ponosi Mayę—ciałem jej uderza o żelazne kraty—przez wybite szyby ciska garście drobnego kwiatu między zatechłe ściany.

Marja Hornowska.

Krajoznawstwo polskie w Chełmie.

Oryginalną i śmiałą myśl powziął zarząd Polskiego Tow. Krajoznawczego — założenia oddziału swego w Chełmie w tym czasie, gdy już w dumie petersburskiej toczyły się rozprawy o odłączeniu Chełmszczyzny od Królestwa.

Zarząd doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że, gdy raz powstanie tam placówka krajoznawstwa polskiego, to jej działalność, choćby krótka, choćby nawet zgilotynowana z czasem przez rząd, nie pozostanie bez błęgiego wpływu na społeczeństwo, bez praktycznych a pożądanych wyników dla nauki.

Z tem przeświadczeniem łączyła się, nieco złośliwa, ciekawość, co zrobią z tym fantem, z tą puścizną o charakterze naukowym, po niechybnem już odłączeniu Chełmszczyzny?..

Zwyczajem, przyjętym przy organizowaniu oddziałów, zapoczątkowanie go w Chełmie miał poprzedzić odczyt p. t. „Krajoznawstwo u nas“.

Zaproponowany na Wielkanoc, mógł się odbyć dopiero w jesieni — tak długo trwało załatwianie formalności cenzuralnych w Lublinie. Zbierano informacje o osobie prelegenta, b. wice-prezesa centrali warszawskiej, aż wreszcie pozwolono mu na odczyt.

Odczyt się on w niedzielę, w dużej, na 800 osób, sali kinematografu chełmskiego, a odbył się w nadzwyczajnych iście warunkach. Gdyby go dano w dzień powszedni, zebrałaby się nieliczna inteligencja polska, ale przy niedzieli napłynęło do miasta włościanstwo okoliczne, które umiał zaagitować odpowiednio niestrudzony, żarliwy obrońca polskości i katolicyzmu, proboszcz miejscowy, ks. Wincenty Hartman. Zapowiedział on ludowi z ambony, że nieszpory odbędą się nieco później niż zwykle, o 6-ej z wieczora, gdyż o 4-ej odbędzie się ciekawy odczyt „pewnego pana z Warszawy, który przyjechał do nas, aby nam opowiedzieć o naszym kraju”. — I wy — mówił do zebranych — zamiast po próżnicy wałęsać się po mieście, zaczepiając Bogu ducha winnych żydziaków, lub — co gorsza — siedzieć w szynku, powinniście pójść na ten odczyt“..

Dość było tych słów ukochanego pasterza, aby przed kinematografem, już przed 3-cią po południu, zaroily się tłumy wieśniaków obojej płci. Kierowano ich do kasy, w której kasjerka nietyło miała do roboty z wycinaniem biletów, ile — do mówienia.

— Jaki bilet? na galerję? złotówka... — Ha, no, niech będzie... — mówi jeden, ale wraz mu przerywa rezolutniejsza niewiasta:

— Dobrodziej nic nie mówił, jako my mamy płacić... Idźta — mówił — a posłuchata, co będzie mówił o naszym kraju pan z Warszawy...

— Sprawiedliwie! tak mówił — potąknęła gromada.

Kasjerka, zdetonowana, posłała po

informację do inicjatora całej sprawy, dzielnego społecznika i organizatora, d-ra Edwarda Łuczковского, który podejmował u siebie prelegenta.

Niebawem doktor znalazł się w kasie.

— O co chodzi? — zapytał — chcecie być na odczycie? dobrze — będziecie. Kto z was nie może zapłacić, niech wejdzie darmo: ani nam, ani temu panu z Warszawy, nie chodzi o zysk, tylko o to, żebyście coś z jego mowy skorzystali. Ale zamożniejsi gospodarze powinni zapłacić.

— Ma się rozumieć! — odezwały się głosy, a z niemi jęły się sypać i złotówki. Na pół godziny przed rozpoczęciem odczytu galerja tak była przepełniona wieśniakami, że aż trzeszczały deski.

Ten napływ niezwykłych słuchaczy zaalarmował policję, upatrującą w tem jakąś podejrzaną manifestację, oprócz dyżurnych policjantów sprowadzono zastęp żandarmerów kolejowych i miejskich. Publiczność odczytowa szła między szpalerem „fijołków“, nie mogąc sobie wytłumaczyć tej niezwykłej asysty.

Punktualnie, przy przepełnionej sali, rozpoczął się odczyt.

Słuchacze — wieśniacy zachowywali się na nim, jak — w kościele, w niezamąconej ciszy rozlegał się głos prelegenta, a gdy ustawał na chwilę — rozlegały się z galerji, jak podczas kazania, westchnienia.

Gdy skończył, — rzęsiście oklaski słuchaczy z dołu zgłuszył wielki okrzyk zbiorowy — tych z góry:

„Panie Boże wielki, zapłać!“...

Prelegent, który objechał już całe Królestwo, a nawet zawadził o Odesę, nie czuł się nigdy tak wzruszonym do głębi najserdeczniejszem, najowacyjniejszem przyjęciem, jak tym prostym, szczerym, bodaj — modlitewnym, okrzykiem.

Gdy tłum odpłynął w ulice, wy-

szedł, na końcu, prelegent z doktorem. „Fijołki“ i policjanci stali przed gmachem w ordynku. Za idącymi biegle ciekawe, podejrzliwe spojrzenia.

— O źle!—mówił doktor do prelegenta — policjanci, zawsze tak dla mnie grzeczni, nie salutują mi—po odczycie. Nawet ten strażnik, któremu uratowałem dziecko, i ten drugi, którego leczyłem... Żle!.. naraziliśmy się!...—kończył z wesołą, niefrasobliwą ironją.

Odjeżdżającego tegoż wieczora do Warszawy prelegenta, przeprowadzała na dworzec, w dyskretnem oddaleniu, sfera policjantów pospołu z żandarmami.

Nigdy w życiu zacny doktor tak się nie uśmieiał, podobno, jak naza jutrz po odczycie, zrana.

Przybyły doń „starszy strażnik“ z uroczystą, urzędową, miną wprost przystąpił do indagacji.

— Czy pan doktor jest pewny, że ten wczorajszy, obcy pan — to był wice-prezes z Warszawy?

— Najpewniejszy, znam go osobiście.

— Dajmy na to, bo może być bieda... Żandarmi zapewniają, że to nie żaden wice-prezes z Warszawy, ale, przebrany po cywilnemu, jezuit z Galicji, przybyły, aby nawracać na katolicyzm naród prawosławny. Są dowody: ksiądz proboszcz namawiał naród na odczyt z ambony—nie bez kozery... a ten sam czytający—taż bez brody, bez wąsów, wygolony... Czysty jezuit!..

Doktor pokładał się ze śmiechu.

Tak to w „iskoni“ ruskim Chełmie ukazanie się polskiego prelegenta, słuchanego przez wieśniaków, alarmowało stróżów bezpieczeństwa...

Wskutek podania organizatorów oddziału, złożonego do władzy, w myśl wskazań delegata warszawskiego, na

wiosnę następnego (1910 r.) rozpoczęła się działalność oddziału chełmskiego, na początek z 62 członkami. Prezesem został wspomniany doktor Edward Łuczkowski, dusza organizacji. 13-go listopada odbył się obchód Konopnickiej z referatem p. Anny Fudakowskiej; wygłaszano referaty i odczyty. Założono bibliotekę i muzeum. W dwa lata potem oddział liczył 116 członków. Z pośród prac krajoznawczych, dokonanych przez oddział, doniosłe znaczenie ma wielka mapa pow. chełmskiego, wykonana przez p. Ziółkowskiego.

Placówka polska przetrwała i „odłączenie Chełmszczyzny“, i paniczny „exodus“ moskali, i nowe ukształtowanie stosunków, przetrwa niechybnie i zakusy ukraińców...

Bo przy jej narodzinach był osiadły tam od odwiecza—lud polski, zbożny, miłujący ojczyznę...

Karol Hoffman.

Szkolnictwo.

Niemasz narodu, któryby obok największych zalet charakteru. umysłowości rasy — nie posiadał też pewnych braków, które mniej lub więcej obniżają skalę jego pomyślności.

Świadom ujemnych stron geniuszu narodowego, winien być w pierwszym rzędzie stan nauczycieli. Szkolnictwo bowiem narodowe, to wielki warsztat, który, prowadzony umiętnie, zdolen jest głęboko przekształcać i ku doskonałości dźwigać wartości umysłowe, etyczne i fizyczne narodu.

Szkolnictwo, to niewątpliwie najprzedniejsza narodowa instytucja.

Nauczycielstwo — najszanowniejsze w ojczyźnie stanowisko jeśli wagę stanowiska tego samo głęboko pojmuje i odczuwa.

Dr. Henryk Nusbaum.

Kościół św. Krzyża.

Słońce gorące, piekące,
Ulica w wiosennym skwarze;
Serca płonące, tętniące,
Dłonie omalate — półspiące
Twarze.

Na jasność wyszli promienną:
Niemrawy dziad przy Golgotcie,
Oślepta babka z kościoła.

Słońcu składają lenno —

Pożółtkie starte, czola.
Kąpią się w złocie...

Tak ciepło... ciepło... ciepło...
(W cichość serdeczną zaskrzepło
Zbudzone serce)

Żebracze świecą w żrenicach
Barw tęczą tkane kobierce,
I słońca blask na licach:

Ośleptej babce w kościele
Sam Chrystus łoże ściele.

Krew płynie, tętni... płynie...
(Gorący piasek w klepsydrze)
Blask... żar — i okrzyk się wydrze:
Eucel!

Komu się sny nikczemne
W zmęczonej zbudzą głowie,
Kto w jednym, cichem słowie
Pragnienia zgasi daremne,

Temu już nie wyrosną
U stóp rozłogi wiosenne.
Ten zdepcze ziarno plenne
I rozbrał weźmie z wiosną.

Пав — Tobie oltarze i plon nasz bogaty
Fujarki, wierzb szum i kwiaty...

Пав — — — —

Chępliwa wiosna i złota...
Jak ból miłości — bezcenna
Kładzie się tam, skąd kamienna
Patrzy Golgota...

Henryk Gruber.

NA ODŁOGACH BIAŁORUSKICH.

Od września 1792-go rozpoczęła się w dziejach Francji nowa era — i nowa serja lat zwanych „de la République”. Znacznie krótszą była w Rosji serja lat „konstytucyjnych”

Niebawem po ogłoszeniu ukazu „październikowego” z 1905-go roku, czyli w pierwszym zaraz roku... „konstytucji” rosyjskiej, nie bacząc na żadne zakazy i nie czekając na nową reglamentację inicjatywy prywatnej w sprawach oświatowych, otworzyłem u siebie na wsi, o siedem mil na wschód od Wilna, szkołkę elementarną ludową z nauczaniem bezpłatnem w języku polskim. Załokowałem ją w po-karczemnym, dużym budynku, w rozległej wiosce

opodal dworu, w „stolicy” gminy liczącej przeszło dziesięć tysięcy „dusz” bez wyjątku rzymsko-katolickich; lud wszystek był rdzennie białoruski, lecz garnący się szczerze do polskości, dzięki oddziaływaniu nań i kościoła i dworu, a zrażony w równej mierze do rosyjskiego rządu jak do rosyjskiej urzędowej „oświaty”. Lud był niemiłosiernie ciemny; próby zawiązywania np. kółek rolniczych, tak prosperujących gdzie indziej, rozbiły się na całej Białej-rusi o bierny opór chłopów, o łbach zakutych a... podejrziwych; byłem najmocniej przekonany, że ze starszem pokoleniem ludu wiejskiego w okolicach moich — nic nie da się

zrobić; chodziło o powolne i mozolne wychowywanie oraz kształcenie — nowego pokolenia.

Jednym z kamyków węgielnych tej przyszłości miała być moja skromna szkołka.

Udało mi się dostać wybornego bakałarza, który miał otrzymać rychło pomocnicę, gdyż w pierwszym już tygodniu zapisało się przeszło sto dzieci. Liczba ich dosięgła z górą 150 chłopców i dziewcząt. Program nauk był nieskomplikowany: czytanie i pisanie polskie oraz (z dużym nań naciskiem) rosyjskie, religja (wykładana przez księdza przyjeżdżającego z pobliskiej Oszmiany), arytmetyka. Klasy dwie. Książki, kajety, pióra etc. otrzymywały dzieci ze dworu. Opłatę za naukę, oczywiście minimalną, miałem zaprowadzić dopiero w drugim, jeżeli nie w trzecim roku istnienia szkoły. Wpierw trzeba było do niej — pociągnąć i ją zaaklimatyzować. W tej-że wiosce, przy gminie, istniała szkoła elementarna rządowa z wykładem rosyjskim, prowadzona przez nauczycieli i nauczycielki z podciemnej gwiazdy, a z zawodu rusyfikatorów, szpiegów i denuncjantów. Chłopi tej „placówki“ szczerze nie lubili; nietrudno było ośmielić ich do nieposyłania dzieci do szkoły rządowej; gdy bojkot przybrał charakter rewolucyjno-manifestacyjny, nauczyciel, jakoś w początkach 1905 roku, zemknął i szkołka „kazionna“ pustką stała. Pan samowładny na 125 milach kwadratowych powiatowego obszaru, p. *isprawnik* czyli naczelnik powiatu, na ten „objaw“ nie reagował. Nie chciał chłopów — drażnić. Niemniej uważał za wskazane nie „korzystać“ z dokładnych wiadomości o przygotowywanej — najzupełniej jawnie — szkółce polskiej.

To też poświęcenie jej odbyło się, co się zowie, *pontificaliter*. Zacny i dzielny dziekan oszmiański, ks. Ey-

dziatowicz, odprawił uroczystą mszę w cmentarnej kaplicy wioskowej, przemówił gorąco od ołtarza i na czele sporego tłumu ruszył, poprzedzony krzyżem i chorągwiami, przez wielki „rynek“ wioskowy do „gmacchu“ szkoły. Po poświęceniu odbyło się zapisywanie dzieci. Potem poczęstunek rodziców. Dzień ów cały — zaprawdę niepowszedni — był najrzetelniejszem świętem dla pięciu wiosek okolicznych, niegdyś dworskich, pańszczyźnianych. Rychło też i z dalszych osad i wiosek, z czterech i pięciu wiorst, jęto dzieci przysyłać lub przywozić do polańskiej szkoły.

A władze? Osołomione władze, doskonale rzeczy świadome, siedziały cicho. Czasy były groźne. Zresztą po całej guberni zaczęły ukazywać się dworskie szkoły polskie, jak trawka po wiosennej burzy. Nie zabraniano — ale też i nie pozwalano. Właśnie przeciągało dziejami Rosyi sto dni pierwszej Dumy... Sto typin, „mąż silnej ręki“, nie zawahał się jej rozpedzić... Groźne widmo rewolucji rozchwiewało się... Z zapartym oddechem „władze“ czekały, jaki obrót wszystko weźmie.

Tymczasem pełen dobrych manier i „liberalnych“ zamierzań gubernator Siergiej Siergiejewicz Tatiszczew kaptował i kaptował polskie ziemiaństwo miejscowe. Tydzień nie minął bez „wspólnej“ narady, bez wysadzenia „mieszanej“ komisji, a choćby bez towarzyskiego zebrania u p. gubernatora lub zaproszenia na obiad „w najściślejszem kółku“. Raz, podczas wcale liczonej sesji u hr. Tatiszczewa, sproszonej nie pamiętam już dla jakiej sprawy społecznej lub politycznej, gdy w obecności kilkunastu „przedstawicieli władz“ i tyluż przedstawicieli nas, ziemian, poruszono kwestję szkół elementarnych ludowych, p. gubernator zwrócił się nagle do mnie:

— A w waszej szkole polańskiej, Czesławie Karłowiczu, w jakim języku wykładana jest arytmetyka?

— O! — odparłem w niemniej uprzejmym tonie — mnie chodzi przede wszystkim o to, aby dziecko wiedziało, że dwa razy dwa daje... mniejsza: *cztery* czy *cztery*, byle, strzeż Boże, nie pięć lub trzy!

Drobny ten incydent przytaczam jedynie dlatego, że charakteryzuje „kresowe” stosunki rządowo-polskie w przełomowym roku 1906-tym, tudzież daje wyobrażenie jak dalece wówczas szkoły elementarne, ludowe, polskie były przez władze — tolerowane.

Nie trwała długo ta — tolerancja.

Tegoż 1906-go roku, w początkach zimy, akurat tegoż dnia, kiedy ja w Wilnie po obiedzie u hr. Tatiszczewa z nim i z żoną jego samotrzeć przy czarnej kawie „bisiadowałem” sobie w najlepsze, na wsi kilkunastu konnych dobrze uzbrojonych strażników pod komendą paru urjadników otoczyło moją szkółkę i z wielkim hałasem a nawet płazowaniem rozpędziło uczącą się dziatwę. Poczem sprowadzono, których się dało, rodziców „na miejsce przestępstwa”, zagrożono najstraszliwszemi karami, jeżeliby się odważyli dzieci do *tej* szkoły posyłać; skonfiskowano książki i kajety (właśnie z najwzorowszą kaligrafią rosyjską i rosyjskiem dyktandem!). Popłochu było i strachu co niemiara... Zawiadomiony natychmiast telegraficznie, tegoż dnia jeszcze późnym wieczorem otrzymałem od p. gubernatora na ostrą moją osobistą interpelację wyjaśnienie, że „zamknięcie” mojej szkoły nastąpiło na wyraźny i bezpośredni rozkaz — z Petersburga... nie mający, rzekomo, z jego władzą gubernatorską nic wspólnego.

Przyjąłem do wiadomości. Prosiłem, aby nikogo z włościan nie po-

ciągano do odpowiedzialności, ponieważ sprawy całej inicjatorem oraz jedynym „winowajcą” ja tylko jestem. Jakoż, włościan nie ruszono. Śledztwo trwało długo. Nieoceniony mecenas wileński, Tadeusz Wróblewski, postrach reakcyjnych prokuratorów, zacierał ręce, przygotowywał wręcz nadzwyczajną obronę w grożącym mi procesie. Procesu mi nie wytoczono; nie miałem przyjemności zapłacić nawet 5—10 rubli kary, na którą w następstwie skazywano wszystkich moich współobywateli, obwinionych o... szerzenie oświaty.

A cóż to był w tych półtora sta dzieciach za zapal do nauki! Jakież czyniły postępy! Co za niezrównana była rozkosz przysłuchiwać się lekcjom! Co za przepyszny materiał! Jakie wrodzone zdolności!...

Wszystko to, wszystko, niestety, odsunięte dziś *ad feliciora tempora*. Wszystko to leży tam dotąd odłogiem. Jeszcze i to pokolenie, któreśmy chcieli dźwignąć na pierwszy szczebel kultury, po przeszło dziesięciu latach dalszego... ugorowania. dziczeje w dalszym ciągu pod strzechami wiosek białoruskich...

Quousque tandem?

Czesław Jankowski.

POMOC DLA INTELIGENCJI.

Że w wielkiej biedzie znaleźli się z powodu największej i tak długotrwałej wojny, dziennikarze, literaci, nauczyciele, artyści i wogóle mnóstwo ludzi, stanowiących mózg narodu, stwierdzono to stanowczo, lecz rady na to nie widać.

Niechże nam będzie wolno doradzić coś takiego, co leży w zakresie naszej specjalności. Nie będzie to żadne *panaceum* na wszystkie biedy i troski, które dręczą naszych inteligentów, zarabiających na życie swoje i rodzin, mozołną i najbardziej

wyczerpującą pracą mózgu i wogóle systemu nerwowego. Wszakże środek, który podamy, zastosowany prędko i dobrze, może się okazać w praktyce bardzo pomocnym, by ciężki czas przeżyć. Posiada on nadto jeszcze tę zaletę, że w dalszej przyszłości będzie także skutkował i to nawet coraz lepiej.

Sprawa jest sama w sobie dosyć prosta i jasna, a jej doniosłość i wartość praktyczną oddawna oceniła inteligencja pracująca w Europie Zachodniej, najwcześniej zaś angielska.

Im wojna trwa dłużej, tem jawniej-szem się staje, że klęski, które ona z sobą przynosi, dotyczą najmniej posiadaczy ziemi. Pomimo nawet żrącego braku nawozów i sprzę-gaju; pomimo podrożenia wszystkie-sio, co nabyć trzeba, by wytwarzać, wieś, a więc ziemia, jest śpichle-rzem jedynym, dostarczającym po-karmu i sobie i miastom. Jednocze-śnie też okazało się dobitnie, że zie-mia jest najlepszą formą kapitału, bo ani papiery procentowe, ani fa-bryki, ani domy, nawet w przybli-żeniu nie mają tej, co ziemia war-tości.

Jakoż w samej rzeczy, jest ziemia podstawą materialną bytu narodów, jest istotną arką, w której one skła-dają pracę swych rąk i myśli, a bez ziemi i tego, co ona daje, nie jest możliwy żaden dorobek cywili-zacyjny, żadna praca ducha. Stąd owo żywiołowe, z głębi naszej isto-ty płynące, upodobanie do ziemi, tęsknota do jej posiadania, znamien-na zwłaszcza u tych, który się na wsi wychowali lub na niej kiedykol-wiek pracowali.

I wystarczy niewielki tej ziemi kawałek, by skutecznie dopomódz do wyżywienia rodziny, o ile ona na tej ziemi umie i chce, jak na-leży pracować.

Czemużby nasi głodujący inteli-genci nie mieli wraz ze swemi ro-

dzinami mieszkać i pracować na własnym kawałku ziemi? mieć z nie-go własną pracą wydobyty pokarm, a przytem siłę mięśni, odnowienie nerwów, myśl świeżą i bujną, za-pewniony kął spokojny i chleb na stare lata?

Lecz jakże o tem myśleć ludziom zajętem pracą codzienną piórem, pędzlem, czy wogóle głową, na ka-walek chleba, coraz, droższego, coraz mniej wystarczającego?

Zapewne będzie to sprawa nieco trudna, ale przecież możliwa.

Przy Banku ziemiańskim powstał wydział parcelacyjny, którego ce-lem jest obrona od parcelacji dzi-kiej, zarówno jak przechodzenia zie-mi w obce, niepowołane ręce.

Dlaczegożby zrzeszenia nauczycie-li, literatów, urzędników nie miały dopomódz swoim członkom do na-bycia (na spłatę długoletnią) parceli ziemi, niezbyt daleko od miast przy pomocy tej nowej instytucji? Taka wieś rozkupiona przez kilku-dziesięciu ludzi, tego samego zawo-du, dawałaby im obok innych korzyść życia towarzyskiego w swojej sfe-rze, a jednocześnie tworzyłaby ze-spół małych posiadłości taki, jaki się oddawna widzi w dużym promie-niu, naokoło wielkich miast zachod-nich.

Lecz choćby się nabyło parę lub kilka morgów ziemi, toć ich przecie nie ugryzie, by najgłodniej-szy.

Prawda, ale gdy zechce, prędko się nauczy, co i jak trzeba robić, by mu ziemia rodziła. Kredyt na jej zagospodarowanie znajdzie się, bo to jest lokata od każdej innej pew-niejsza. Kilkunastu drobnych posia-daczy łatwo dostanie specjalistę rolnika, czy ogrodnika (ten jest bar-dziej tu wskazany), który doradzi i nauczy, jak robić trzeba, a do ro-boty stanie cała rodzina. Wszak najdrobniejsza nawet jej cząstka nie

pojdzie na marne, bo ziemia odda
wszystko z sowitym procentem.

Początki będą mozolne bardzo,
ale gdy się przez nie przebrnie, na-
groda za pracę będzie niemała. Wła-
sny domek z ogrodem na stare lata;
piękne i pożyteczne zajęcie na
zmierzch życia, gdy pióro wypadnie
z ręki, a myśl wyjałowuje; silne,
pewne oparcie dla całej rodziny.

Nie chcę iść dalej, bo i tak lę-
kam się, że mnie czytelnik nazwie
marzycielem.

A tymczasem com powiedział, wy-
snułem prawie z 50-letniego bliskiego
obcowania z drogą Matką-ziemią.
Nikt jak ona nie umie się odwzię-
czyć za umiłowanie jej i pracę w nią
włożoną. Nic nie da tyle, co ona,
różnorodnych korzyści, zadowolenia,
co mówię, nawet radości.

Więc nie potępiajcie mnie za ten
pomysł, ale raczej rozważcie go i
starajcie się w czyn wprowadzić.
Tak robią oddawna inni, czemużby
nie potrafili tego połączyć?

E. Jankowski.

Co znaczy: Kochać Ojczyznę!

Kochać Ojczyznę — to nie znaczy
Mieć wroga w nienawiści:
Nienawiść wszystkich cel wypaczy,
Nienawiść nie nie ziści;

Nienawiść, jako chwast nikczemny,
I dobrą glebę zgłuszy,
I siły strawi w walce ciemnej,
I moc sprząpaści duszy.

I choćbyś nawet najogniściej
Dał krew swą i dał życie,
Gdyś to uczynił z nienawiści
Dla wroga, żutej skrycie,

Nie zaś z wyłącznej dla Ojczyzny
Miłości i ofiary,
Nie będzie z tego posiew żyzny,
Nie wyrznie się plon jary.

Kochać Ojczyznę — znaczy tyle
Mieć dla niej w piersi słońca,

Że wszystkie myśli, czucia, chwile,
W niem sprawią czynów gońca.

Kochać Ojczyznę — jest to święcie
W tę jutrznię zdążyć świata,
Która powita, już nie w pędzie,
W człowieku każdym brata.

Kochać Ojczyznę — jest to czynem,
Za naszą i za waszą
Wolność, jak cennym zórz rubinem,
Krwia piersi się okraszą.

Kochać Ojczyznę — Boże mocny!
Przyjdź tu Królestwo Twój!
Szatana zwiąż — męt rozwieć nocny
I krwawe zdejmij boje!

Dzień ślij z dobrami duchowemi,
Chciwości zasyp tonie —
I ludów, ludów Twojej ziemi,
W braterstwie połącz dłonie!

Bo to nieprawda — jak Bóg żywy,
Nieprawda, co gwałt słowi,
By człowiek wiecznie u tej niwy
Był wilkiem człowiekowi.

Bo to nieprawda, jak duch żywy,
Jak myśl, co go stanowi,
Że o byt walka, że łup chciwy
Jest celem człowiekowi.

Bo wszak tej walki człowiek świadom,
A przeto już jest mocen
Iść wbrew łupieżnym onej śladom
Drogami własnych ocen.

* * *

Gdy wróg ci zdrady knuje mgliste,
Gdy łakom twego proga,
Ty dzieło pełnij tve ojczyste,
Pomijaj — nieznaj wroga.

Ty sił nie strawiaj w nienawiści,
Lecz słońce twej miłości
Na sprawę tocz — niech ono czyści,
Niech ono słuszność rości!

Gdy wróg cię zdrożem obwiodł stro-
Gdy poi cię piotunem, [mem,
Ty go miłości tej ogromem
Oślepiaj, jak piorunem,—

I cierpliw bądź — zwol bożej zwłoce,
Zaś wierz, zaś ufaj zprawa,
Że miłość mocą jest nad moce,
W niej cześć, w niej władna jawal

Bo zła nie zwalczysz bronią złości,
Złość tylko zło rozwiłoczy,
W świetle się tylko droga sprości,
Światło li noc wykluczy!

* * *

U tych dni nowych kto z narodów
Najżywiej miłość wszczepi,
Ten pierwsze miejsce pośród godów
Już najdzierżawniej skrzepi,

Narodem tym, w tęcz strojnym wiana,
W słońce pierwszych—pierwsza w rzę-
Niech ręką Boga kierowana, [dzie,
Ojczyzna moja będzie!

Józef Jankowski.

Spełniona wróżba.

W roku 1885, a zatem przed trzydziestu trzema laty, pojawiła się w Krakowie, bezimiennie wydana, przez cenzurę rosyjską zakazana książeczka pod tytułem: *Strofy*, odzwierciedlająca w gnomistycznych, lub też lirycznych urywkach uczucia, które wypełniały podówczas serca dęczone nawałem klęsk i krzywd zadanych ludzkości przez tryumfującą przemoc.

Z książeczki owej, swego czasu dosyć popularnej, dziś już zapomnianej, godzi się przytoczyć urywek, świadczący, iż rzeczywistość nie zadaje niekiedy kłamu poetyckim przeowiedniom.

Miedzy innemi, Strofa, pod tytułem *Przyszłość Europy*, brzmiała:
Śpią w głębi Azji wojów mrowiska...
Błaskiem ich mieczów lśnią rzeki.
Czasem, wśród burzy, groźnie prze-
Zygzak piorunów daleki... [błyska
Przyszłość rozerwie Tybetu tamę
I hord mongolskich roztopy.
Podważą z czasem Zachodu bramę
By skruszyć wał Europy...

Al. K.

Prawo do pracy — prawo do wywczasu.

„Naród, który w wytwory swoje wkłada siłę fizyczną, wiedzę i artystyzm, jest wyższym od tego który posługuje się tylko siłą fizyczną. Naród, w którym jest więcej ludzi szczęśliwych, doskonałych i użytecznych, góruje nad tym, w którym jest stosunkowo mniej.”

Te prawdy wypowiedział kiedyś Bolesław Prus w swoich „Najogólniejszych ideałach życiowych”. Warto je przypomnieć obecnie, gdy przygotowujemy się do nowego życia społecznego i do nowej organizacji pracy zbiorowej. Zarówno teraz już, jak w większej jeszcze mierze po wojnie wypadnie przewartościować dawne formy bytu. Trzeba będzie pracę podnieść do wyższych jakościowo poziomów. Nie sam wysiłek fizycznej pracy, nie suma jej ilościowa, lecz jej zdolność twórcza, umiejętność realizacji celów doskonali społeczeństwo i mnoży kulturalne dobra gospodarcze. Odrębna, duchowa dziedzina pracy, wiązanie każdej roboty z jej celem społecznym, zespalanie moralne jednostki twórczej z dziełem — oto prawdziwe zadania pracy wyzwolonej, podźwigniętej z nizin niewolniczego wyrobnictwa na wyżyny wolności człowieczej.

Ruskin, oceniając współczesną pracę fizyczną, tak określa ujemne jej skutki:

„Nie praca uległa podziałowi na drobne cząstki, lecz ludzie podzieleni zostali na cząstki ludzi, na drobne ułamki, na okruszyny. Używać ciała i skóry człowieka na rzemień, poruszające maszyny, w tem przejawia się prawdziwa niewola... Nie o to chodzi, że ludzie źle się karmią, lecz że nie czują zadowolenia w pracy, że za pomocą której zdobywają chleb... Klasy wyższe nigdy nie żyły tyle uczucia i sympatji do niż-

szych, co obecnie, a nigdy nie były tak przez nie nienawidzone”.

* * *

Pogodzenie prawa do pracy z prawem do *lenistwa*, czyli prawa do zorganizowania sobie bytu z prawem do dawania woli swoim przyrodzonym uzdolnieniom i społecznym instynktom — jest wielkim problemem socjalnym najbliższej przyszłości. Kultura i oświata, dobrobyt i poczucie jednostkowej wolności są motorami pracy twórczej, a zarazem wyzwolonej, która pomnaża dobra materialne, nie niwecząc moralnych. Prawo do wywczasu — to prawo do osiągnięcia najwyższego stopnia energii i siły moralnej. Ono leży właściwie u podstaw prawa do pracy, która nie powinna być pracą niewolnika, skazanego tylko na dobywanie z siebie sił fizycznych. Praca nie powinna kruszyć radości życia.

* * *

Niektórzy twierdzą, że po tej wojnie człowiek i naród będzie musiał podwójnie pracować, aby z ruin podźwignąć zdruzgotany świat. Należy wprowadzić do tego twierdzenia korektywę. Będzie trzeba lepiej wytwarzać; nie zaś więcej pracować. Wyższy wynik produkcji zależy od moralniejszych ustaw politycznych i gospodarczych, zależy przede wszystkim od pracy nad istotą duchową człowieka, a potem dopiero od pracy nad martwym wytworem.

Wywczasy nasze — to praca nad duchem, nad oświatą, nad kulturą ludu, nad podźwignięciem go z odwiecznego trudu i znoju, w którym nie mógł uszlachetniać swych zdolności.

„Bądźmy leniwi zawsze i wszędzie — mówi Lessing — jeno nie w objęciach rozpusty, nie przy kielichu, jeno nie wówczas, gdy jesteśmy w niewoli lenistwa”.

St. A. Kempner.

SZKOŁY DOBRE I ZŁE.

Szkołą dobrą nazwać można uczelnię, w której panują ideały dobra powszechnego, wiedzy czystej i moralności chrześcijańskiej; uczelnię, w której ludzie żywi, odczuwający i rozumiejący wszelkie objawy życia społecznego, a specjalnie — młodzieńczego, troskliwie opiekują się duszą i ciałem swych wychowanców; uczelnię, w której nauczyciele, stosując najlepszą metodykę, pracują wspólnie z uczniami nad wyrobieniem ich umysłu i charakteru; uczelnię, która urządzona jest według wymagań nowoczesnej higieny i estetyki, oraz posiada odpowiednie pomoce szkolne.

Każdy człowiek myślący wyobraża sobie tak, lub nieco inaczej, szkołę dobrą; gdyby go jednak zapytać, czy widział taką szkołę na ziemiach polskich, to prawdopodobnie odpowie, że nie.

Trzeba się więc z tem zgodzić, że — niestety — szkół zupełnie dobrych nie mamy.

Czy z tego wynika, że mamy szkoły złe?

Ażeby na to pytanie odpowiedzieć cofnijmy się na chwilę wstecz o lat trzynaście.

W r. 1905 społeczeństwo polskie, po 35 latach panowania szkoły obcej, osiągnęło wynik częściowy długoletnich walk i usiłowań w postaci szkoły polskiej prywatnej, pozbawionej „praw” dla personelu szkolnego i uczniów, jakie dawała szkoła rządowa.

Jakkolwiek brak „praw” wytwarzał pewne niedogodności, to jednak społeczeństwo uznało szkołę polską za swoje dziecko, otoczyło ją sympatją i opieką.

Znalazło się nawet niemało ludzi, którzy mówili i pisali, że szkoła wogóle żadnych „praw” nadawać swym wychowancom nie powinna,

gdyż to wpływa na zmianę celu nauczania.

Życie nowonarodzonych. a raczej odrodzonych, szkół polskich płynęło jednak wśród trosk i przeciwności.

Warunki istnienia były przeważnie bardzo skromne, programy z konieczności były przeładowane, a niskie uposażenie personelu szkolnego nie pociągało zbyt wielu jednostek dzielnych do poświęcania się pedagogii.

Pomimo więc dość znacznej swobody w wyborze personelu trudno było w szkołach średnich męskich i żeńskich wytworzyć zespół nauczycieli zupełnie odpowiednich.

W szkołach niższych było jeszcze gorzej, gdyż trudności znalezienia nauczycieli dobrych, mających prawo nauczania, były większe, a przytem szkoły niższe, przeważnie gminne, podlegały różnym ograniczeniom.

Cóż dziwnego, że w takich warunkach nie mogły się wytworzyć szkoły dobre.

To też coraz częściej słyhać głosy, odzywające się o szkołach naszych krytycznie, może nawet za nadto krytycznie.

Chciałbym więc zwrócić uwagę na ich strony dodatnie, rozumiejąc, że są jednak szkoły, które posiadają takie wady, że powinny być niezwłocznie przekształcone lub zwinęte.

Ażeby się nie poddawać nadmiernemu krytycyzmowi, trzeba zaznaczyć, że nawet te narody, które mają swoje własne szkolnictwo, od dawna organizowane bez przeszkód, nie wytworzyły jeszcze takiej szkoły, z której byłyby zadowolone.

¶ Szkoły polskie są przedewszystkiem naszymi — i to jest ich zaletą najważniejszą; znaczna ich większość jest prowadzona uczciwie — to druga ważna zaleta; wśród perso-

nelu szkolnego znajduje się dość znaczna liczba pedagogów, może niezawsze mających szerokie podstawy teoretyczne, lecz wyrobionych praktycznie i w swym zawodzie zamiłowanych — to zaleta trzecia; znaczna większość szkół grupuje dokoła siebie przedstawicieli społeczeństwa czy to w postaci rad opiekuńczych, czy kół rodzicielskich, co musi doprowadzić do ścisłego zbliżenia się szkoły z rodziną i społeczeństwem — to zaleta czwarta; stosunek szkoły do młodzieży jest swobodny, szczerzy i przyjazny — to zaleta piąta, i może nie ostatnia.

Gdyby szkoły polskie pozatem posiadały już tylko wady, to jednak wymienione zalety pozwolą im w pomyślnych warunkach te wady prędko usunąć.

Trzeba więc pomyślnie warunki dla szkolnictwa wytworzyć, traktując szkoły nasze tak, jak rodzice traktują swe wątłe dziatki: widzą ich słabe strony, ale kochają je, pielęgnują i wzmacniają, nie szczędząc pracy ni nakładów.

Szkoły nasze nie są tedy złe, lecz słabe i wymagają kuracji, która — jak każda kuracja — powinna być przystosowana nie tylko do choroby, lecz i do wrażliwej natury chorego.

Kazimierz Kujawski.

..... Przestraszająca w swym ogromie wielka wojna europejska spowoduje nieobliczalne wprost straty w najcenniejszym — bo niezastąpionym materale — w ludziach. Najzdrowsi, najdzielniejsi, w wieku najbardziej odpornym masami wyginą. Przerażeni następstwami tego faktu już dziś mężowie stanu i działacze społeczni obmyślają sposoby, jak ratować ten najbardziej wartościowy ze wszystkich „surowców”. W tym celu rządy niemal wszystkich państw tworzą ministerja zdro-

wia publicznego i opieki społecznej, które mają za zadanie czuwać nad tem, ażeby zdrowie każdego obywatela było możliwie wszędzie i zawsze zagwarantowane, ażeby wszystkie urządzenia i zarządzenia zarówno państwowe, jak społeczne były przesiąknięte ideą higieny czną.

Najbardziej atoli wysiłki rządów, instytucji społecznych będą skierowane na to, ażeby otoczyć opieką *dziecko* od pierwszej chwili jego przyjścia na świat, a nawet jeszcze wcześniej, aż do okresu pełnoletności. Dostarczenie więc zawodowej pomocy niezamężnym kobietom przed i podczas przyjścia dziecka na świat, należyte uświadamianie matek o sposobach pielęgnowania niemowląt, czuwanie nad dziećmi, które opieki rodzicielskiej zupełnie lub częściowo są pozbawione, zakładanie takich instytucji, jak kropla mleka, stacja opieki nad dziećmi, żłobki, ochronki, organizowanie opieki nad dziećmi sierotami, opuszczonemi, zarobkującami itp., oto naglące zadania, jakie w pierwszej linii będzie miało do rozwiązania państwo, a oprócz niego instytucje samorządowe i społeczne w dziedzinie opieki nad dziećmi.

Jeżeli sprawa ta stała się palącą wszędzie, to tymbardziej u nas, gdzie w samem Królestwie Polskiem 80 000 niemowląt umiera rocznie, nie dożywszy pierwszego roku życia, wyniszczając bez potrzeby zdrowie matek i zużywając miljonowe sumy nieprodukcyjnie.

W tej walce o zdrowie fizyczne doniosłą rolę ma też do spełnienia i *szkoła*.

Najważniejsze postulaty, którym szkoła pod tym względem winna zadość uczynić, są następujące:

1-o *Budynki i lokale szkolne, jako też urządzenia wewnętrzne szkolne* powinny być do tego stopnia *hygieniczne*, ażeby wpływy szkodliwe, poła-

zione z kilkoletnim, a często i kilkunastoletnim pobytem dziecka w szkole były do minimum ograniczone (przestronne, widne i czyste sale szkolne, sale rekreacyjne i gimnastyczne, odpowiednia dla każdego dziecka ławka, natryski szkolne, boiska do gier i zabaw przy szkole i t. p.).

2-o *Program nauczania w szkole* powinien unikać przeciążenia umysłowego dziatwy, *uwzględniać indywidualność każdego dziecka*, jego właściwości fizyczne i psychiczne, ażeby praca jego przy najmniejszym wysiłku była najbardziej wydajną.

3-o *Wychowaniu fizycznemu szkoła* powinna poświęcić niemal tyleż *miejscu i czasu, co wychowaniu umysłowemu* w myśl zasady równorzędności jednego z drugim (odpowiednio wykształcony personel pedagogiczny do celów wychowania fizycznego, odpowiednie programy, stopniowane według wieku i sił fizycznych uczniów i uczennic: gry, zabawy, ćwiczenia fizyczne, sporty, wycieczki, harcerstwo i t. p.).

4-o Nad szkołami i nad uczęszczającą do niej dziatwą powinien być wytworzony należyty *dozór higieniczno-lekarski*. Lekarze szkolni powinni czuwać nad warunkami sanitarnymi budynków i lokalów szkolnych, mają badać i poznawać stan zdrowia każdego dziecka, zapobiegając rozwijaniu się wad i zbroceń, o ile można usuwać je (ambulatorja szkolne) i strzedz, by przez szkoły nie szerzyły się choroby zakaźne.

5-o Wychodząc z założenia, że dziecko głodne nie jest w stanie i nie powinno się uczyć, szkoła przy pomocy opiek szkolnych organizuje *żywienie dzieci*, zwłaszcza *niezamężnych*.

6-o *Dla dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej*, a więc przedewszystkiem dla sierot, dalej dla dzieci, któ-

rych rodzice znajdują się w bardzo ciężkich warunkach materialnych, albo którym zagroza zaniedbanie moralne i cielesne (pijaństwo rodziców, złodziejstwo, żebractwo), przy szkołach winny być zorganizowane *bursy* (internaty), gdzieby na koszt państwa, instytucji samorządowych lub społecznych dzieci miały zapewniony stały pobyt, całodzienne utrzymanie i opiekę wychowawczą.

7-o Dla nauki w godzinach pozaszkolnych, na czas pracy pozadomowej rodziców przy szkołach powstać powinny *światlice*, gdzieby działwa, zamiast wałęsać się po ulicach, mogła odrabiać zadane lekcje, pracować w warsztatach, dziewczęta — w szwalniach i kuchniach, korzystając z opieki lekarskiej i wychowawczej.

8-o Zabezpieczyć działwie szkolnej zwłaszcza słabowitej, letni wypoczynek i poprawę stanu zdrowia przez *tworzenie kolonji i półkolonji letnich*.

Oto co dla dzieci w wieku szkolnym z zakresu wychowania fizycznego i opieki nad niemi zrobić u nas można i należy.

Tylko zdrowa fizycznie młodzież podejmie się w przyszłości oczekującej ją ciężkiej walki o byt, tylko w zdrowej atmosferze szkolnej wyrosłe młode pokolenie dozna tak cennej radości życia, na długo zachowa tężyznę ducha i ciała, wytworzy według starogreckiej maksymy człowieka „pięknego i szlachetnego” (*καλὸς καὶ ἀγαθός*) i cechy te przekaze potomstwu swojemu, ulepszając w ten sposób i udoskonalając rasę ludzką.

Dr. Stanisław Kopczyński.

Ż Y C I E.

Milczeć i cierpieć, gdy tego potrzeba...
Żyć — i nie ginać, choć zgon wyzwoleniem —
O powszedniego kęs zabiegać chleba,
Trwać w mrokach piekieł, a tęsknić do nieba —
I cienie kochać i stawać się cieniem.

Na w duszy wnętrzu płonące ogniska,
Jakby na trumnę — sypać ziemię szarą
Lichych zawodów i strat bez nazwiska,
A potem patrzeć w popiół paleniska
Przez resztę życia, co się stało karą...

Budować złudom szalonym za młodu
Hen — na powietrznej wyobraźni fali —
Pałace z piasku, domki z kart, czy z lodu,
Potem je zwałać — z wrażeń dziwnych głodu
I — ginać przez to, że się wszystko wali...

Na zdobne kwiatem snów — duszy witraże
Rzucać coprędzej jawy czarne plamy,
I wrogo patrzeć na kochane twarze,
I drogie serca spalać w kłęsk pożarze,
Lichym pragnieniom nie stawiając tamy.

Jak gracz, co liczy na stawkę ostatnią,
Grać — co najlepsze przegrać w jednej chwili:
Miłość, przyjaźni ofiarnej dłoń bratnią
Sławę i szczęście... i chlubić się matnią,
Którąśmy sami tu sobie stworzyli.

A potem z dziką, bezpłodną rozpaczą
Bronić ostatnich już szanieców istnienia.
I wlec przez cierpień splot duszę tułaczą

Szlakami, co się krwawo w śniegu znaczą...
I nici wątej czepiać się — wspomnienia...

Karmić goryczą duszę żyć niezdolną,
Narzekać, życie kłać, a wiedzieć o tem,
Ze wszystko, wszystko sercu było wolno —
I żeś je zdeptał sam, jak trawkę polną
I nie masz miejsca pod szczęścia namiotem,

I grać przed sobą i przed całym światem
Komedję żalu oraz nawrócenia —
Samemu sobie ciągle będąc katem...
I nie móż wznieść się sercem w moc bogatem,
Ani odepchnąć w mrok łodzi istnienia.

Szarpać się ciągle — i ludzi daremnie,
I tłumić każde żywsze serca bicie...
Błagać o litość... cierpieć tak nikczemnie,
Ślepotę własną odczuwać tajemnie...

— — — — —
O pozdrowione bądź, okrutne Życie!

Tadeusz Kończyc.

HAMLETYZM.

Na progu epoki nowoczesnej dumy nad zagadką doli ludzkiej smętny duński Królewicz. To jest pierwszy w poezji światowej typ nowożytnego intelektualisty, z duszą rozdartą, obezwładnioną przez chorobę woli.

W otoczeniu lichem, na poły barbarzyńskim, Hamlet zмага się z losem, który mu narzucił rolę mściciela. Instynkt jego tajemny buntuje się przeciw tej konieczności. Jego wytworna, wielkopańska natura wzdryga się wobec twardej powinności kata i siepacza. Uważa zemstę za morderstwo ojca jako świętą powinność — a jednak zatruty smętkiem, marzy o niej, jako o czynie odległym i na razie niedościgłym. Zbacza z drogi, waha się, ogarniając świetną intuicją najgłębsze zagadnienia, siłą się, aby przebić zasłonę, która dzieli człowieka od zaświata.

Intelektualizm i newroza stępiły w nim zmysł zachowawczy. Zamiast dążyć do rewindykacji swych praw do korony w obronie przeciw zamachom stryja-zbrodniarza, — szamocze się w walce z własnym sumie-

niem, filozofuje, zwleka, marzy, „płodzi nierząd z marami”.

Genjalny w dziedzinie myśli, w życiu staje się słabym i chwiejnym. Pomimo wielkich przymiotów umysłu i charakteru, zdobywa się tylko na obronne odruchy w chwilach niebezpieczeństwa.

Sam siebie sądzi surowo, analizując własną duszę... „Trwożliwe, drobiazgowie przewidywanie — według niego — ściśle biorąc, zawsze ma w sobie trzy części tchórzostwa, a tylko jedną mądrości”.

Na scenie, w sferze poetycznej halucynacji Hamlet i jemu podobni nerwowce, marzyciele, miłośnicy abstrakcji i samoanalizy, mają pewien urok duchowej wielkości. W życiu jednak praktycznym są to pigmeje, albo żdźbła, po których przechodzi bez oporu miażdżące koło losu.

Wszelka bierność, choćby pozornie płynąca z pobudek szlacheńskich, albo zasad wyrozumowanych — prowadzi do słabości, do załamania się wobec trudnych zagadek losu jednostek lub narodów.

Czem jest właściwie los? Składają się na to pojęcie warunki realne

otoczenia, suma dążeń i działań ludzkich, moce zewnętrzne a nade wszystko głębsza prawidłowość życia i świata. Przy spojrzeniu na życie ludzkie pod kątem całości bytu zanika dowolność przypadku nawet wtedy, gdy jednostka jest żdźbłem lub pyłem poruszonym przez wielkie wichry lub prądy.

Pewną sumę warunków zewnętrznych może nieraz energiczna jednostka urobić i zmienić na swoją korzyść—wyzyskać przyjazne konjunktury w granicach możliwości. Człowiek chwiejny lub bierny podobny bywa do płynącego w łodzi, który nie walczy z nieprzyjawnym prądem, a nawet unoszony w kierunku pomyślnym, nie poruszy wiosłem, aby się dostać do pożądanego brzegu.

W rozwoju historycznym zdarzają się położenia ciężkie, trudne do rozwikłania, gdy los narodów w znacznej części zależy od wyniku działań i wypadków, w których wola czynna tego narodu słaby tylko może przyjąć udział. Jeżeli okoliczności układają się przyjaźnie w pewnej chwili, doktrynerzy i niezdecydowani mówią, że „historja za nas pracuje“. Izamiast wytyżyć siły do celów możliwych, prowadzą jałowe spory, upajają się czarem hasel idealnych, a na razie czysto platońskich, marnując najlepsze momenty. Niektórzy nawet tracą do tego stopnia zmysł rzeczywistości, płaczą się w gąszczu doktryn, pięknie brzmiących frazesów, że z bierności robią dogmat, albo ją podnoszą do bohaterstwa!?!..

Jest to stara klęska rodu ludzkiego, że mózgi gatunku „*homo sapiens*“ dają się opanować przez idee i hasła, nawet obłedy zaraźliwe. Nie umieją odróżnić doktryn jałowych albo fantastycznych od waloru tych sądów ludzkich, które naprawdę

ujmują treść konkretną, immanentną życia i świata.

Kto marzy o rzeczach wielkich, o ideałach na razie niedościgłych a nic nie robi dla osiągnięcia celów określonych przez warunki danej sytuacji—jest podobny do człowieka, który — jak mówi Mefistofeles w „Fauście“ Goethe’go—„szpera na zbyt wiele, a jest jako bydle, które w błędnem kole, zły duch po wyschłym prowadzi rozdole, a tam się wokół świeża trawa ścięła!“

Pomimo całej sympatii dla Hamleta, Szekspir, który obejmował wzrokiem pół-boga wielkie sprawy dziejowe, stawia naprzeciw księcia marzyciela twardą i przedsiębiorczą postać Fortymbrasą. Umierając bezpłodnie Hamlet jemu przekazuje spuściznę—guńskiego tronu. Marzyciel-idealista oddaje losy ojczyzny w ręce człowieka czynu. Do Fortymbrasów należy państwo rzeczywistości. Idealne dążenia w dziejach są wielką siłą twórczą, ale tylko poparte przez mocny czyn lub siłę, dają początek nowym kształtom.

W najnowszej powieści Andrzeja Struga, „Chimera“, mamy ciekawy wizerunek polskiego hamletyzmu. Bohater jej błądzi wśród swarów partyjnych, w chaosie rozbieżnych dążeń, doktryn, ulud, dysput, programów. Męczy się i szamocze długo, trwoni czas i siły,—ale w końcu znajduje wyjście z dręczących go wątpliwości—stając z karabinem na placówce polskiego żołnierza. Nie pyta o to, za jaką Polskę bić się będzie, za wielką czy za małą — ale wie, że trzeba walczyć, działać a nie medytować i czekając beczynnienie, gubić się w sprzecznych „orientacjach“.

Na każdej placówce życia narodowego hamletyzm i bierność prędzej czy później muszą zbankrutować i patrzeć na walący się w gruzach swych ulud i frazesów.

Józef Kotarbiński.

Powiedz, żołnierzu...

Wacławowi Sieroszewskiemu
z wyrazami żywej czci.

Powiedz żołnierzu skąd ty jesteś rodem,
że taką szarżę sam sobie nasuwasz,
zaś wobec śmierci bez przestachu stawasz,
iđąc pod kule w uniesieniu młodem?

Powiedz żołnierzu, kto ty jesteś taki,
żeś postanowił bić się bez patentu,
że czerwonego nie sył traktamentu,
unosisz naprzód poszarpane znaki?...

.....

A może tobie wydało się we śnie,
że znowu piorun uderzy z pod ziemi,
że spłynię orzeł skrzyłami srebrnemi,
że wróci Wolność — i że Polska wskrześnie?

Ileż-bo w tobie groźnej arogancji,
szary żołnierzu, który nie masz państwa,
Jak-eś się odważył rwać łańcuch poddaństwa,
bez błogosławieństw mas — i bez gwarancji!

Ileż-bo w tobie krwawej prowokacji,
iż-eś się ważył zdeptać grobów letarg
i pomyliłeś nasz powolny przetarg
bez najświętszego zezwolenia nacji!...

.....

Żołnierzu — wróc się! Podaj dłoń upartą,
oddaj nam siły i młodości zasób —
a my ci wszystko odpłacim w dwójnasób,
i powiesz z nami pospołu: nie warto?

— Nie chcesz? Ty wolisz gdzieś... jak pies... pod płotem,
Ty wolisz padać, powstawać i broczyć —
ty wolisz z nimi — i z nami bój toczyć,
choć śmierć cię woła z szydliwym chichotem.

Nie chcesz?...

— Żołnierzu. — jeśli-ć starczy mocy,
mów nam, czy prawda, że po wielu skonach,
ONA się zjawia czasami w plutonach,
w szarych plutonach waszych, w cichej nocy...

*Powiedz, czy prawda, że się świat rozpląszcza,
jak robak lichy, kiedy ONA światu
okaże rąbek swego majestatu,
popieląc serca szkarłatami pląszcza...*

*Powiedz czy prawda, że się goją blizny,
że gorzące zasychają rany,
gdy czasem żołnierz ujrzy twarz Nieznanej
tej waszej strasznej — i wolnej Ojczyzny!...*

Zdzisław Kleszczyński.

Że w Czechach istnieje bardzo wiele związków i stowarzyszeń kobiecych; że są doskonale prowadzone szkoły i wyższe zakłady naukowe żeńskie, powszechnie jest wiadomem. Natomiast, mało kto wie i pamięta o tem, nawet w Czechach, że pierwszą szkołę czeską w Pradze, otworzyła w czasach największego ucisku, polka, Honorata z Wiśniowskich Zapowa, galicjanka, synowica zmarłego męczeńską śmiercią w Lwowie w r. 1846 Teofila Wiśniowskiego: W roku 1845 przeniosła się z mężem¹⁾ ze Lwowa na stałe do Pragi. Wówczas nad Wełtawą nie było ani jednej czeskiej szkoły, o szkole dla dziewcząt kobiety nawet nie marzyły. Zapowa dotąd kołatała do władz miejscowych, dotąd zabiegała nawet kosztem zdrowia, dopóki po złożeniu przez nią odpowiednich egzaminów nie została otwarta w Pradze pierwsza w ogóle szkoła czeska. Marzenia Zapowej, wysoce wykształconej i gorąco miłującej kraj ojczysty kobiety, sięgały daleko. Szkołę założoną dla dziewcząt czeskich, pragnęła ona w przyszłości rozwinąć, rozszerzyć i uczynić ogniskiem wychowawczem dla rozrzuconych na obczyźnie dzieci polskich. Losy ich, obchodziły Zapową gorąco. Z krajem nie zrywała bowiem stosunków, cierpiała nad jego niedolą i żyła jego nadziejami. Ciężka choroba i w ślad za nią idąca śmierć, przerwała pracę i wszystkie dążenia szlachetnej kobiety; zmarła młoda jeszcze w 1856 r. Polce więc zawdzięczają czeski bardzo, bardzo wiele. Honorata z Wiśniowskich Zapowa dała impuls do założenia pierwszego owarzyszenia kobiecego w Czechach.

Melania Parczewska.

1) Profesor Zap znany pisarz czeski, należał do tej bardzo nielicznej garski Czechów, którzy przed r. 1840, urzędując w Galicji, zjednali jednak sobie szacunek polaków.

Synogarlice nie dla wróbli...

Tadeusz Kościuszko po skończeniu nader chlubnie szkoły kadetów pod okiem księcia Adama Czartoryskiego, na żądanie Stanisława Augusta wyjechał do Francji dla kształcenia się w inżynierji i artylerji.

— Dajemy ci na to 100 dukatów rocznie,—nie wracaj, póki sztuki tej doskonale nie zdobędziesz! — mówił król.

Kościuszko skłonił się dwornie, podziękował i niezwłocznie wyjechał.

Bawił tam 3 lata, t. j. do r. 1779. Powrócił dopiero po pierwszym rozbiorze kraju.

Uczucie narodowości i miłość ojczyzny była w nim wysoce rozwinięta.

— Cóż ja mogę teraz uczynić, jestem zamłody, aby urządzić zbrojne powstanie.

Cały więc ból skrył w swem sercu.

Jako wojskowy, pochodzący z okolic Brześcia Litewskiego musiał się przedstawić lw. wojewodzie Sosnowskiemu w Sosnowicy.

Nietylko przedstawił się, lecz bywał tam bardzo często. Skończyło się tem, czem zwykle się kończy na tym najlepszym ze światów.

Córka wojewody Ludwika Sosnowska zapalała gorącym afektem do młodego kapitana.

On jeszcze większym ku niej.

Gdy kilka dni Tadeusza nie było, wychodziła do altany skąd dosko-

nale widać było drogę wysadzaną topolami, którą tenże przyjeżdżał.

Altana ta miała swoje wspomnienia, bo w niej po raz pierwszy wyznał Kościuszko swoje afekta do pięknej panny.

Pewnego razu gdy Tadeusz przyjechał, nie zastał ani panny, ani jej matki.

Tknęło go to nieprzyjemnie.

Poszedł wszakże do wojewody i rzekł:

— Kocham córkę j.wielmożnego wojewody, wiem, że i ona mi jest wzajemną, proszę o jej rękę.

— Córkę moją Ludwikę przyobiecałem księciu Lubomirskiemu! — Potem wykręciwszy się na pięcie dodał:

— Synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków! **Zuzanna Morawska.**

Fragment z „Wajdeloty”.

ROLAND.

Potężny władca nasz,
Sprawując ludów straż
Na złotym Franków tronie,
Jak mu przykazał Bóg —
Utrudził w znoju dłonie,
Druzgocąc złomy dróg,
Na których krańcu cel,
Jak śniegów czystych biel,
Co nawet w noc nie błędną,
Już jaśniał mu odmłodu:
Narody wsze Zachodu
Zjednoczyć w państwo jedno.
Bez drżenia i bez trwogi
Zakrwawił w bojach miecz
I wziął im skarb ich drogi:
Ich wolność, świętą rzecz!
I wydał na stracenie
Jednego dnia w Verdunie
Pod krwawy topór kata
Tysiące przednich głów —
Aż ziścił sen swych snów:
Już jedna biała szata
Świętego Chrześcijaństwa
Jednoczy, wrogie przódy,
Zachodu wszystkie ludy
W jednego łonie państwa;
I w gaju Irminsula,
I w tumie Akwizgranu —
Pod jednym berłem króla
Jednemu służą Panu.
Lecz serce się Karola

Wielkiego wielce trwoży:
Królewska, mówią, wola —
Nie czują woli Bożej!
I własnych żył posoka
Dziś łękiem je zacienia
O trwałość zjednoczenia . . .
Zwycięzco wielki Smoka!
Dla hartu cnej jedności,
Bych lat tak mnogich dzieło
W dzień jeden nie runęło —
Tam twojej trza wielkości,
Ty naucz mnie więc zgody,
Jak zbratać wsze narody?
A Roland na Wawelu
U drogi stanie celu!

KRAKUS.

Siostrzeńce Karolowy!
Kto miecza do budowy
Używa, zamiast kielni,
Choć włada nim najdzielniej —
Na kopji wspiera dach,
Wiązałem temu strach!
I mimo lat mopolnych,
Nie wstrzyma pod nim wolnych,
Narodów woli wbrew,
Ojcowska nawet piecza:
Przekłętę dzieło miecza!
Niewinnych na nim krew
O pomstę póty woła,
Aż wezwie Pan anioła
I każe: Co ze zgłiszcz
I ludzkich łez, to zniszcz!
Bych praca nie zginęła,
Oszczędzaj arcydzieła,
Choć wiecznie to niech trwa.
Co wzniosłem jeno Ja! —
Królewskiej twej budowie
Zas brak doskonałości:
Nie zmilknąć ludów mowie
Dla państwa, ni jedności.
Języki zmieszał Pan,
Każdemu własny dan;
A wyrwiesz je z gardzieli —
Ontemisz od katuszy,
Lecz będą jeszcze w duszy
Po swemu wciąż myśleli.
Po latach już niewiele
Rozpadną się narody,
Bez swej złęczone zgody;
I runie gmach Babelu,
Gdy miecz, co dziś go broni.
Wypadnie z władcy dłoni.
Budujcie więc na nowo
Dom zgody i jedności;
Lecz kielnią czyńcie słowo,
Wiązanie z wszech-miłości.
Albowiem jej potęga,
Co zechce, to osiąga.
I kiedy nie dość trudu —
Dokona miłość endu!

Witold Łaszczyński.

Oto dwa sonety — Ze wspomnień Poety.

*To jest sonet pierwszy;
Na czternaście wierszy.*

Raz przy oknie stanąłem w zadumie głębokiej
I błdziłem oczami po niebios lazurze;
A duch mój, górnolotnej swej, gwoli naturze,
Chciał ze mną razem wzbić się wysoko w obłoki.

Wzlatamy więc obadwaj; pokój niewysoki
Zatrzymuje nas wkrótce swym sufitem w górze,
Bo otworu nie było wybitego w murze.
Ja, chcąc go głową wybić, cofam się dwa kroki

I powracam z rozpędem, ale źle trafiłem:
Większa była przeszkoda niżli przypuszczałem
I, choć twardą mam głowę, muru nie przebiłem.

Z nieudanej wycieczki zawrócić musiałem
I w podróży powrotnej o piec zawadziłem.
A potym z pieca na łeb na ziemię zleciałem.

*Ten zaś sonet drugi
Jest tak samo długi.*

Zawstydzony upadkiem zrywam się na nogi,
Wycieczkę zamierzając rozpocząć na nowo;
Lecz, by nie być zmuszonym o mur tłuc swą głową,
Roztropnie się szykować począłem do drogi:

Zanim się razem z duchem uniosłem z podłogi,
Żerdzią otwór potrzebny wybiłem dębowa;
Tamtędy, wysunawszy się ciała połową,
Wyjrzałem, pragnąc lecieć, gdzie mieszkają bogi.

Jednak jakiś fatalizm zawisł nad podróżą,
Gdyż nową zaskoczony zostałem przygodą:
W tejsze chwili się zjawił deszcz ulewny z burzą,

Przez otwór do pokoju wpadając z swobodą.....
I teraz me poezje na nic już nie służą:
Natchnienie w nich zostało zastąpione — wodą.

Jan Kwietniewski.

List cyniczny o pisaniu wierszy.

Ty tam, ja tutaj wsłuchujem się oba,
Trwożni, że chwila nas złudna ominie.
Rośnie, nie rośnie już w myślach osoba
Dramatu, która urodzi się w czynie.
Nie miecz nim będzie, nie śmiech, nie żaloba
Jeno się wierszy korowód rozwinie
I jak piór srebrem zasrebrzy się rymem
Do serc tchnie sercem, do czupryn tchnie dymem.
Przedemną całą swą wnętrzność otworzy
I w nim zamieszkać władnący jak w domie.
Niech mu się w walce powiedzie najgorzej,

Niech miecz potrzaska i kopję przełomie.
Wszystko, mnie okrom, o niego się strwoży
A ja Go ujrę Zwycięzcą widomie
I bohaterem wprowadzę do wierszy.
Drwię z takich żywych: mój będzie najpierwszy.
Jeszcze nie czas jest, ażebym powiedział
Ile nad życiem wyższości jest w słowie
I jaki wielki w mówieniu jest przedział,
Pomiędzy tymi, co tworzą — bogowie.
A takim, który o słowach nie wiedział
To tylko jedno, że jęczą w okowie.
Tych wszystkich znaczeń, co ludzie im dają
Sami nie wiedząc — gdy mówią, pieśni grają.
Z siebie Go tylko, Rycerza wysnuję
I będzie wszystkim, co tylko jest ze mnie.
Jego, gdy siebie buduję — buduję
On nikczemnieje, gdy żyję nikczemnie.
On tylko słyszy głos młota, co kuje,
Gdy się do ludzi uśmiecham przyjemnie.
Każdym mym nerwem, nerw każdy mu stroję.
Kiedy w nie tracę — zadźwięczą, jak moje.
Wszystko jest jedno, czy będzie ubranie
Na nim się śmiało ułańskie — czerwienią,
Czy piór u ramion husarskich dostanie,
Czy obcy będzie cieleśnie — przestrzenią.
W tem tylko duma: pozostać nieznanie,
Jak duchy nieraz, gdy ciała przemienia.
Mną będzie tylko, inaczej zaś niczem,
Kto mnie zna, pozna pod cudzem obliczem.
Kto mnie zna, nawet ten w duchu się zdziwi,
Żem taki obcy własnemu jest słowu,
Że mi się słowo tak z czynem przeciwi
Jakbym się marniać odradzał był znowu.
Nikt nie pomyśli, że w czynach się krzywi
To, co jest wierszem, mym plonem z połowu.
Że duch u jednych ma czyn za narzędzie,
Rozmyśla w innych, a w innych grać będzie.
Tako się ku mnie podkrada poemat,
Jako gwiazdami rymami migoce.
Cokolwiekbaż jest naokół — to temat,
Wszystko co robię, to tylko są moce
Tajemne. One rozwiążą problemat
Z którym się dzisiaj myśl darmo szamoce.
A przy gotowem przystanie bezradnie.
Dziwno jej: w rymy spokojnie się kładnie
Coś we mnie wpływa kwietnego od róży,
Coś wiosennego — przyływa od wiosny.
Ja, ktoś mi obcy, mą niemoc rozburzy
I w wiersz się zaklnę, jak w Hostję, radosny
A jutro wiosna to po mnie powtórzy,

Deszcz białych pyłków zmiatając miłosny
 I tak się z Twórczem odnajdziem złączeni
 Z wiosną, gdy wiosna, z jesienią — w jesieni.
 Od księżycowej się naucz poświaty
 Tego, co lepiej opowiesz niż ona.
 Wiosna tam u was. Gadają już kwiaty
 Teraz się rosą dzień zalał i kona.
 Cisza. I słychać jak kręcą się światy,
 Jak ziemia rymy układa stęskniona.
 Teraz jest chwila. Kto w rytm się jej wsłucha
 I rym odnajdzie. Do duszy tchnie ducha.

Jan Lechoń,

POETA I WYDAWCA.

(Z bajek wojennych)

Polskiej Macierzy Szkolnej,
 najświętsze zagadnienia uwzględniając,
 tę bajkę poświęcam.

*Teraz, gdy wskutek wojny, przemysłowcom biada,
 Że nie mogą spokojnie zgrabiać złota w brogi,
 Wydawca do poety przyszedł i powiada:
 — Zmniejszam ci honorarjum, mój poeto drogi.
 Żąda dziś podwyższenia taksy kto? szewc, tragarz,
 Lecz poecie się godzi nie troszczyć o worek;
 Pewno się od nadmiernych zysków i ty wzdragasz
 I bezinteresownie dasz mi swój utworek.
 Ciebie to nie kosztuje nic, a ja za młodu
 Musiałem się przemysłów uczyć. płacić szkołę;
 Poecie to wypada. jeśli umrze z głodu,
 Przemysłowiec jest na nic, jeżeli jest goły;
 Dla mnie ziemskie, dla ciebie niebieskie odaje;
 Ty żyć możesz, jak cygan, bez domu, tułaczko...
 Dwadzieścia pięć fenigów zresztą za wiersz daję,
 Pomyśl: za paczkę więcej zapalek nie płacę.
 Sto wierszy mi napiszesz — dwadzieścia pięć marek,
 Dziesięć rubli... No, czyż cię nie przejmuje buta?
 Za to ci da Hiszpański szewc, albo szewc Marek
 Żelówkę... no, przynajmniej do jednego buta.
 Za dwadzieścia pięć marek masz co? ćwierć koszuli,
 Masz jedną rękawiczkę, masz dwa funty masła...
 No powiedz, czyż cię taka hojność nie rozczula?
 Ufam, że sprawiedliwość w tobie nie wygasła,
 I, że mi nie odmówisz swego ducha płodu...
 Ale cóż to? Ty malejesz? Chwytasz się za głowę?
 Co ci jest?*

*— Nic, umieram poetycznie z głodu.
 Lub żyję, jeśli wolisz, lecz mniej o połowę.*

Jan Lemański.

Książę wieś lubi? Bo ja pasjami —
i jestem dobrą panią nielada.
Wiesz swą znam świetnie, bo gdyśmysa-
Nieraz mi o niej mąż opowiada. [mi,

Oto, na przykład, moja ochronka:
Przyjmuję czasem w swoim salonie
Nauczycielkę — sama nie bywam,
Bo jakoś... Janie! popędzaj konie.

Pejzaż mnie wiejski, *vraiment*, zachwycił!
Jedźmy do rzeki... Janie! nad wodę!
Książę, spójrz! Niczem, jak zagranica,
Nieraz z *mademoiselle* spór oto wiode...

Albo wschód słońca — widzę, na skórze
Niedźwiedziej leżąc w swym buduarze,
Słońce się ślizga po rąk marmurze,
Gdy noc z romanssem włoskim przema-
[rzę...

A księżycowe noce: poema!
Z balkonu patrząc człek traci głowę,
Chodzić nie można, bo latarni niema
I psy spuszczone złe podwórzowe.

Patrz, książę, rozkosz, sielanka, zda się,
Cztery krowiny, małe pastusze,
Ach, z jakim wdziękiem on krowki pasie!
Janie! podjedźmy! pomówić muszę...

Mon ange! uciekasz? Masz tu pralinę.
Bo pewno głodny? Nie jadt od wczora?
A te krowiny? To matusine,
Co w Barika chacie rok leży chora...

Jakaż poezja! Książę, milczenie?
Powiedz, chłopaczku, co chcesz odemnie?
Jak ci na imię? Lubię szalenie
Dobłą dla ludzi być, to — przyjemnie.

A dzieci nie mam. Wiesz, książę przecie
Wizyt i balów wciąż miałam tyle,
Od rana trzeba chodzić w gorsecie,
Pardon... choć czasem żal mi — na chwilę.

Wiece, malenki? Co chcesz, no, śmielej...
Jeść dla matuli? I elementarz?
Zehyśmy tylko nie zapomnieli...
Książę! *mon ami!* ty — zapamiętasz!

A co do książki, mam tu *Prévosta*,
Bierz, co pod ręką, droga dziecino...
Patrz, książę, kula czerwonołota
I lila chmurki po niebie płyną.

Jedźmy już dalej, książę, patrz, rosa!
Ach! do powozu! przemoczę stopy...
Książę... szafirem mgłą się niebiosia.
Wiesz to jest niezły kąt Europy!

Michalina Makowiecka.

Były różne poglądy na dzieje
narodów zgastych. I te poglądy bę-
dą ciągle różne.

Narody zmarłe żyją w narodach
żywych. Ale taki lub inny pogląd,
mniej albo więcej oryginalny, na
zgaste życie narodu, co był, a które-
go już niema, w niestychanie roz-
ległym zakresie wpływać musi na
bieg życia narodów żywych. Czy
złożymy dobre dowody na to, że re-
publikanizm municypalny helen-
ski a państwowy rzymski musiał
z konieczności przeobrazić się w im-
perjalizm Aleksandra W-go i wiek-
szego odeń, Juliusza Cezara, nie
albo ściślej prawie nie wpływa
na bieg współczesnego życia na-
rodów.

Jakże zadziwiająco słabo sub-
telna i mądra historjografja naszych
czasów oddziaływa na realny byt
państw. Potężniej na zmiany spo-
łeczno-polityczne wpływa genialny
wynalazek techniczny, aniżeli naj-
bardziej pomysłowa i oryginalna
kombinacja historjograficzna. Bo wy-
nalazca-technik wynurza z łona
natury wartości żywe, gdy tymcza-
sem historjograf daje tylko myśl al-
bo spóźnioną, albo przedwczesną.

Myśl żywa i w pewnej mierze
płodna, może być tylko o narodzie
żywym. Taka myśl, to promień do-
bywający się nagle z za chmur. On
żyjące oświeca, a co ważniejsza, już
dretwiejącym wątkom nie pozwala
martwieć. Myśl żywa budzi życie,
woła do życia, które jest i które je-
szcze być może.

Naród, co był utracił państwo-
wość swoją, t. j. wyrobione przez
się formy swego społeczno-polity-
cznego istnienia, a jednak, mimo to
żyje, zawsze może sobie owe formy

wrócić. One czekają na niego, ile, że on żyje. To pewnik tej samej wartości, co i ten: to, co żyje, ma prawo do swego życia. Prawo, t. j. zasadę, z której pojęciem wiąże się pojęcie konieczności.

* * *

Otóż to ludzie o tym pewniku zapominają. Ale jacy ludzie? Oczywiście ci, co o rzeczach i sprawach społeczno-politycznych sądy opierają na motywach fragmentów ciągłości bytowej, których są aktorami i widzami. Ci, nie sięgający myślą i wyobraźnią powyżej swych osobliwych radości i smutków. Oni sobie mówią: tak jest, tak też będzie. Do takiego błędnego z gruntu wniosku doprowadza ich ów lichy, nędzny sceptycyzm, wypływający z doświadczonego zawodu. Ten sceptycyzm jest jedyną filozofją większości ludzi, co z racji swego wykształcenia i pozycji socjalnej, uprawnia ich być mniemając do myślenia kategorjami społeczno-politycznymi. Lud prosty pod tym względem nieskończenie w swym poglądzie na świat wyżej stoi: kieruje się bowiem życiodawczym i życiotwórczym instynktem, który nigdy nie myli i nie zawodzi.

A jednak świadomość narodu ogniskuje się właśnie w tej oto takim sceptycyzmem trującej się większości zespołu inteligentnego. Z jej łona też wyrasta t. z. myśl polityczna, t. j. synteza pragnień i nadziei. Te nieliczne jednostki, co ogarniają sprawy narodu, jako funkcjonującego organizmu, jako spłotu różnych możliwości, domagających się kategorycznie urzeczywistnienia, toną w tłumie. Oni widzą to, co jest i to także, co może i musi być.

* * *

Trzeba gromów i burzy, żeby taka większość inteligentna, lepiej — ta pospolitość inteligentna, zachwiała się w swym mniemaniu: jako tak jest, więc tak będzie — i rzekła sobie: było inaczej, więc może być inaczej... W ten sposób poziome dusze nabierają wolności, słabe serca — wzmacniają się, a przyziemne pragnienia i nadzieje tracą czar.

* *

Dziejowe burze oczyszczają atmosferę z miazmatów filisterskiego sceptycyzmu. I na tem właściwie polega ich sens najgłębszy. Żyjemy właśnie w okresie takiej burzy dziejowej. Doświadcza nas los.

Antoni Miecznik.

ROZKAZ.

Nie dla słodkiej śródkwietnej rozkoszy motylej stworzona-ś, dusza moja, patrząca nad siebie; więc nieraz ku dalekiej rycerskiej potrzebie śpieszysz, — choć w cichej chacie dzień twój szszedłby milej...

Musisz wytrwać! Walcz, krew swą do ostatka wylej: tylko wtedy zwycięstwa. Jutro nie zagrzebie. A spocząć ci nie wolno: nie zna co podniebie nasz horyzont; w tem kłątwa nasza i przywilej...

Może nam będzie dana kiedyś, w przeddzień zgonu, ta smętna radość, którą Pan dał Mojżeszowi; może, odchodząc z pola, ujrzym wróżbę plonu...

Lecz gdy zbraknie pociechy tej — bądźmy gotowi na śmierć, jako załoga statku, który ginie: spełnimy ostatni rozkaz w ostatniej godzinie.

Michał Gabriel Karski.

O matko!...

O matko! droga twoja usłana kwiatami
Wiodła kiedyś ku chwale przez słoneczne błyski,
A gwiazdy, co zagasły, zgasiliśmy sami,
Dziś znów je zapalimy, czas, co wskrzesza, bliski...
Więc promieniem nadziei spędzajmy ból z czoła,
O matko męczennico! przez cierpienie święta!
Serca nasze uzbroim, dusza twoja woła:
„Słabości i niemocy! nazawsześ wyklęta!
Hartu i silnej woli niechaj nie nie skruszy,
Niech zakuta w miecz czynu na dnie myśli leży,
A upiora niewiary niech wypłoszy z duszy —
Na wzór sów i puchaczy z mchem zarosłych wieży,
Niech rozsypią się w popiół rozpacz i tęsknota,
I wszystko, co całunem lub trupem się zowie.
Pękami nowych kwiatów niech oplotą wręta
Do nowego dziś bytu — do życia — bogowie”.
O matko! droga twoja usłana kwiatami
Wiodła kiedyś ku chwale przez słoneczne błyski,
A gwiazdy, które zagasły, zgasiliśmy sami —
Dziś znów je zapalimy — czas, co wskrzesza, bliski!

K. Łozińska.

Z POZA GRAMATYKI.

Nie tak dawno jeszcze imiesłów, kończący się na — *ąc*, nazywano po gramatykach imiesłowem czasu teraźniejszego; ustalono jednak obecnie, że język przeznaczył go nie do samodzielnego wyrażania czasu, ale do tego, ażeby zaznaczał współczesność z drugą czynnością, bez względu na jej czas (czytam *siedząc*, czytałem *siedząc*, będę czytał *siedząc*). i dlatego teraz nazywają go słusznie imiesłowem *współczesnym*.

Obecnie pora spręstować i określenie i t. zw. imiesłowu *zaprzeszłego*, którego znaczenie wyłania się również przy porównaniu jego czasu z czasem innej czynności. Dotychczasowa bowiem nazwa tego imiesłowu jest błędna: nie ma on za zadanie wyrażać czynności zaprzeszłej, ale czynność, która poprzedziła jakikolwiek czas: *zmęczywszy się*, odpoczywam; *zmęczywszy się*, odpoczywałem; *zmęczywszy się*, odpoczne. W takim stanie rzeczy wyraz nasz jedynie właściwie nazywać można imiesłowem: — *uprzednim*.

Wyrażenia: *raz*, za jedną razą i t. p. uważa wiele osób za dowód nieuctwa albo przynajmniej niedbalstwa w mowie, bo *raz*, jako rzeczownik męski, odmienia się przecież według deklinacji męskiej, należy więc, twierdzi ten i ów, mówić nie *razą*, ale *razem*. Taki sąd krytyków jest zbyt pochopny. Postać *razą* jest u nas odwieczna, a ma głębsze pochodzenie. Zaznaczę przedewszystkiem, że zjawia się ona tylko wtedy, kiedy nasz rzeczownik występuje w zastępstwie liczebnika, poza tem bowiem, gdy chodzi o oznaczenie ciosu, uderzenia, nikt nie mówi inaczej, jak tylko *razem*: zabił go trafnie wymierzonym razem (nigdy: *razą*). Należy bowiem zaznaczyć, że u nas rzeczownik ten miesza się z liczebnikiem *jeden*, a pomieszanie to jest tak zupełne, że np. licząc, używamy bez różnicy jednego zamiast drugiego, mówiąc: jeden, dwa, trzy, lub: raz (=jeden raz), dwa, trzy. Uważając wyrażenie: *jeden raz* za pleonazm taki, jak: jedna godzina, jeden rok, pozwalamy tu sobie opuszczać liczebnik, słusznie utrzymując, że liczbę tych rzeczowników

wskazuje w sposób wystarczający ich gramatyczna liczba pojedyncza. Wchodząc tym sposobem do kategorii liczebników, wyraz, o który chodzi, spotykał się już przed wieki z zjawiskiem, że liczebniki od 5 do 99 miały cechy rzeczowników oznaczających miarę, to jest takich, jak: kwarta, łokieć, godzina; że więc, jak podobne rzeczowniki, wymagają i one po sobie rzeczownika zawsze w dopełniaczu: przez wszystką pięć słów, z sześcią groszów, między dziewięcią chlebów, przed dziesięcią lat, za piętnastą wozów, przywiedli całą dziesięć tysięcy żołnierzy i t. d. Wobec tego zamieszanie się rzeczownika *raz* pomiędzy takieliczebniki było tem łatwiejsze, że zdawało się, jakoby przez to wyraz ten właściwie nie wychodził z grupy rzeczowników. Takie liczebniki-rzeczowniki (5—99), jak to już i z powyższych przykładów widać, pojawiały się jako rzeczowniki rodzaju żeńskiego. W Biblii Leopolity np. czytamy: zyskał niemi (grzywnami) drugą pięć; a u Piotra Kochanowskiego: Solima wszystka sześć opadli. Wiśniacy nasi dotąd mówią: wszystka trzech pozbyli życia, wszystka trzynastu i t. p. Stosownie do tego, com wyżej powiedział, w takimże rodzaju pojawia się i nasz rzeczownik *raz*; tak np. Mączyński w swoim *Lexicon latinopolonicum* (Królewiec, 1564) powiada: znowu kuje, drugą raz kuje; a w innem miejscu: drugą raz, znowu, *denuo*; Nagurczewski zaś w swoich *Filipikach* Demostenesa mówi w wieku XVIII: jedną razą. Kaszubi również wyrażają się: do trzeciej rize (=do trzeciej razy. Porów. czeskie: jedną = jedną razą). Zgodnie z tem i odmiana liczebników, o które chodzi, była żeńska: pięć, pięci, pięci, pięć, pięcią, o pięci. Dzisiaj, chociaż liczebniki te już nie bywają żeńskiem (w ostatnich wiekach występują już tylko jako nija-

kie: całe pięć morgów, wszystkie dziesięć stołów), zachowały jednak i dawną żeńską postać narzędnika: pięcią rublami, przed sześcią godzinami i t. d. Wobec tego nie dziw, że i rzeczownik *raz*, chociaż nie żeński, miesząc się z takimi liczebnikami, miewa w narzędniku żeńską postać: *razą*.

Wiele osób jest nieraz w kłopotcie, jak pisać spójnik *bądź cobądź*. Jedni piszą go jako jeden wyraz, drudzy jako dwa lub trzy wyrazy. Wynika to z nieświadomości pochodzenia tego spójnika, które tymczasem jest bardzo proste. Dawniej trzecia osoba trybu rozkazującego nie różniła się swoją postacią od osoby drugiej, mówiono więc: bądź wola Twoja, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje; a i dzisiaj mówimy: siadaj pan, pal cię licha i t. d. Tu przy podmiotach: wola, imię, królestwo, pan, licha—w trzeciej osobie widzimy orzeczenia również w tej osobie, ale według dawnej formy: bądź, święć się, przyjdź, siadaj, pal (zamiast: niech będzie...) Spójnik, o który chodzi, jest całem zdaniem, składającym się z dwóch części: z podmiotu *cobądź* i orzeczenia *bądź* (=niech będzie cobądź, co chce), należy więc tę dwoistość zaznaczyć, pisząc go jako dwa wyrazy: bądź cobądź.

Jeden z purytanów językowych zwrócił się kiedyś do mnie ze zdaniem, że wyraz *niewidomy* jest dziwolągami w mowie naszej, bo wszakże *widomy* jest imiesłowem biernym, a więc znaczy: którego widzą, gdy tymczasem złożona postać *niewidomy* nadużywana jest dla wyrażenia pojęcia: *nie widzący*. To naprowadziło mnie na myśl, że przecież nasze wyrazy przymiotne miewają nie tylko znaczenie: biernie, jak: łakomy (kasek), ciekawy (okaz), staranne (wykonanie), ciemny (kolor), i t. d.; ale i czynne: łakomy, ciekawy, sta-

ranny, ciemny (= ślepy) człowiek i t. d. Wobec tego okazuje się, że spostrzeżenie mojego purytanina nie miało za sobą słuszności.

Władysław Niedźwiedzki.

PAMIĄTKI

(Z albumu Konstantego Sękowskiego, weterana z r. 1863).

Rozmowa ze słowikiem.

— Mój słowiczku luby, złoty,
Czemuś smutny, oniemiały?
Czy te srogie błyski, grzmoty,
Czy cię trwożą wichrów szaleły?
Czyż serduszek pękło z bólu,
Że kwiat z gniazdkiem twojem
I zieloną ruń na polu [z drzewa
Zbiła gradem straszna zlewa?
— Wichrów, gromów się nie boję,
Serce z bólu mi nie pęka,
Głos nie milknij, bo łzy moje
I wesele—to piosenka.
Po nad gromy, co gruchocą,
Po nad wichry, co szaleją,
Piosenka moja z większą mocą
Brzmi otuchą i nadzieją.
Po nad zgłiszczem i ruiną,
Śród zniszczenia, na mogile,
Dźwięki jej prorocze płyną,
Odrodzenia wróżąc chwile.

Lecz ją tłumię w sercu głębi,
Oniemiały, osmucony —
Bo dokoła rój jastrzębi
Drapieżnemi błyska szpony.
Ledwie zaczę piosnkę wieszczą,
Ledwie echo ją rozniesie,
W płowe skrzydła już szeleszczą,
Już mię gonią skroś po lesie.
Niech więc za mnie grają burze
Pieśń nad pieśni gromy swemi!
W nich ja żyję, w nich ja wróżę
Tem jaśniejszy dzień dla ziemi!

Adam Pług (Pietkiewicz).

Narzekamy na marzenia, gdy nam się nie spełniają; ale czyż nawet nie spełnione nie dają nam nieraz chwili rozkosznego wytchnienia i zapomnienia o troskach?

1887 r.

Piotr Chmielowski.

POCHYŁA LIPA.

Kiedy w swych falach Wisła tuli
Na stromem wzgórzu boru ślad,
Tam, na Bielanach, kameduli
Mieli schronisko setki lat.
A przy klasztornym murze rosła,
Jak gdyby cichych strzegąc wrót,
Lipa pochyła, choć wyniosła.
Na okół wszystek znała ją lud.
Lecz nikt nie wiedział, w owej stro-
[nie,

Czemu pochyło rośnie tak?
Drzewo zastęgle jak w pokłonie,
Niby niemego hołdu znak.
Aż dwaj ostatni kameduli,
W wieczór, gdy cisza padła w krag,
Taką legendę mi wysnuli
Ze starych podań, czy też ksiąg.

— Był czas, a temu już lat wiele,
Prawił mi biały siwy mnich, —
Wierzchołek lipy w niebo strzela
Tak prosto jak bagnetu sztych.
Zaś pod Warszawą, gdzie się wspina
Szereg Powiśla niskich chat,
Żyła niewinna wskroś dziewczyna.
Przepiękna, gdyby w maju kwiat...
A taka zdołna w wdzięków czary.
I pełna tak dziewiczych kras,
Że pomnił o niej młody, stary.
Jeśli ją ujrzał bodaj raz.
Lecz choć niejedną z nią wzdycha,
Choć serce truje mu myśl zła,
Dziewczyna była skromna, cicha,
A taka czysta—jako iza.

W Zielone Świątki, na Bielany,
Ciągnął pojazdów długi sznur,
Król i królowa, radne pany.
A dalej konno barwny dwór...
Zaś obok, gdzie przydrożne drzewka,
U stóp wiosenny tuła kwiat,
Biegła z Powiśla owa dziewczka
Za świetnym dworem tuż, tuż w ślad..

Już dwór przystanął przed kościołem
Już zdjęto strojne czapy z głów,
Wszedł król, królowa, radne pany.
Za nimi dworskich barwny huf....
Lipa się ani nie zachwiała.
Prosta, jak trzciny wodnej kiść,
I nieruchoma gdyby skała,
Nie drgnął na wtkach żaden liść.
Lecz gdy dziewczeczka się zbliżyła,
Nie śmiejąc przed się oczu wzniesić,
Lipa się przed nią pochyliła.
Składając cnocie hołd i cześć.

I pozostało pochyłone
Drzewo na wieki odtąd tak,
Odchylił je w przeciwną stronę

Mógł tylko nowy cudu znak,
 Gdyby świadoma tej pamiątki,
 Równie niewinna, przeszła tam
 Dziewczyna znów w Zielone Świątki
 Z modlitwą do klasztornych bram
 Lecz się już taka nie zrodziła
 Na całym świecie, ni wśród nas,
 I tak została wciąż pochyla
 Lipa na długi, długi czas...

Minęły czasy, na Bielany,
 Nie jeździ dawno z królem dwór,
 Już bór wokoło wyrabany
 I klasztor zmarniał od tych pór,
 I na wymarcie poszły mnichy,
 Legendę pokrył wieków kurz,
 Tylko kościółek biały, cichy,
 Przetrwał dziejową grozę burz....
 Gdy ostatniego mnicha ciało
 W Warszawie wiódł na cmentarz lud

Padł grom i strzaskał lipę całą
 Co u klasztornych rosła wrót....
 A tylko flisy prawią baje,
 Że nocą, z Wisły patrząc fal,
 W Zielone Świątki, to się zdaje,
 Jakby powstała wieków dal...
 I dawnych czasów widać ziste,
 I ciągną znów przez ciemny bór,
 Kolasy jakieś pozłociste,
 Panowie radni, król i dwór...
 Z procesją idą mnichy białe,
 W powietrzu głos modlitwy drga,
 Za nimi strojne w cnoty chwałę
 Dziewczę niewinne jako łąza....
 A lipa przed nią się pochyla.
 Składając cnocie hołdu znak....

Baja ludziska, ot i tyła...
 Nie sprawdzał nikt tych bająć wszak.

T. Modrzejewski.

Z krwawych dni:

Kiedy na krwawej siejby patrzę plony,
 Gdy słyszę zewsząd głos skargi i bólu,
 Do Ciebie biegnie wzrok ciszy stękniony.
 Miłości królu!

Ach! mnie się zdaje, że znów po raz wtóry
 Krzyżują Ciebie te jęki miljona,
 Że przez łzy ludzi i krwi ich purpury
 Syn Boży kona.

Kona, jak niegdyś, na Golgoty szczycie
 W strasznej cierpienia godzinie,
 I tak, jak ongi, w słonecznym błękiecie
 Modlitwa płyniel

Modlitwa, którą ślałeś, Ty, o Chryste,
 Na skrzydłach wiary do Bożego tronu,
 Którą koileś swoje serce czyste
 W godzinie zgonu.

I dziś, jak niegdyś, słysząc wokół skargi,
 Patrząc z boleścią na krzywd ludzkich morze,
 Znów Chrystusowe szepcą zcicha wargi:
 „Przebac im Boże!”

Przebac im Boże! usłysz ludu łkanie,
 Nie wie, co czyni, kto błądzi wśród nocy,
 Więc nowe słońce daj ludzkości, Panie,
 Nie szczędź pomocy!

Niechaj zamilkną już jęki tysiąca,
 I wyschną krwawe okropne potoki,
 A brylantowy promień tego słońca
 Rozproszy mroki!

Na starych gruzach nowe postaw światy
 I tryumf światła, prawdy ukaż zorzę,
 Niech z łez tej ziemi zmartwychwstania kwiaty
 Wyrosną, Boże!

Zofja Muklanowicz-Niedźwiecka,

Świątokradztwo.

(Z teki Grotgera).

*Jak grom, co nagle z czarnej wybiegł chmury,
Tak okrzyk grozy uderzył w te mury...
Obdarli święte ollarze i ściany
I poszli dalej — w świat, krwią obryzganym.*

*

*Odeszła fala tej moskiewskiej dziczy
W kraj burzy krwawej, groźny, tajemniczy...
Przyszedł lud blady, przygnała go trwoga.
I hymnem skargi przemówił do Boga.*

*

*

*

*Te Deum! — błaga kornie zmiłowania...
Tej pieśni dźwięki drżą serca rozpaczą,
W wyżyny lecą duszy ukochania,
W błękity niebios o litość kołaczą...
Przez łez strumienie, przez chat naszych dymy,
Ciebie sławimy!...*

*

*Te Deum! — hymn ten, zrodzony w pokorze,
Na skrzydłach wiary unosi tęsknota...
Czy słyszysz, wielki, litościwy Boże,
Pieśń, co uderza w Twoich rajów wrota?...
Niech głos Twój, Panie, kiedyś usłyszymy!
Ciebie sławimy!*

*

*Te Deum! — Boże! o, bądź nam kochany.
Przez łzy tej pieśni, głoszącej Twą chwałę,
Przez bóle nasze, przez serc naszych rany
Krew, którą leją dziejów wieki całe...
Przez słowo, którem łzy te ukoimy,
Ciebie sławimy!*

*

*Wszak myśl Twa patrzy w serc ludzkich otchłanie,
W ich chmurne cienie i różowe świty...
Wszak widzisz w dziejach duchów zmartwychwstanie,
I stygmat boży, na czołach wyryty...
Przez gruzы walki, przez chat naszych dymy,
Ciebie sławimy!*

*

*

*

*O, zostawili zbroje u stóp męki...
I tylko z krzyża słyszać jakby jęki...
Miecz krwawy zawiśł u Twojego boku,
Ludów wybawco! — prawd twórczych proroku!*

*

*Niech łuna gniewu w piersi Twojej płonie,
Gdy świątokradcze dotknęły Cię dłonie,
Czoło, owiane zadumy tęsknotą,
Zbryzgało hańby i szyderstwa błoto...*

*

*Błagamy Ciebie, o Panie o Chryste!
Spójrz w serca nasze tym bólem ogniste!
Ty, który zmarłeś, aby zbawić ludzi.
Nie śpisz na krzyżu bo krzyk nasz Cię budzi...*

* *

*Anioł skrył czoło szal ciemną zasłoną,
Odwrócił twarz swą, bólem zapłonioną...
I wiódł mnie dalej — przez ziemię kochaną,
Z cierpieniem w sercu, z bólów krwawą raną—*

*

*W posepne kraje, gdzie żałosna skarga
Szaleń rozpaczy smutną duszę targa —
I ponieśliśmy swoje kroki chyże,
By w mrokach czarnych inne ujrzeć krzyże...*

Antoni Pilecki.

ZE SZKICOWNIKA WŁÓCZĘGI.

*Chwilo wieczorna! Wyspo ukojenia!
Zachodnia ziemio na burzliwym dniu...
Ku tobie codzienną, padając z znużenia
Płynę wysiłkiem ostatniego tchu...*

*Na pustych ławkach podmiejskich ogrodów
Przed światem kryje mnie chłodny twój cień...
Przedemną ból zaś ukrywa zawodów
Na cudzą korzyść roztrwoniony dzień.*

*Wystarczy przymknąć ze znużenia oczy,
A to, w com serce młodych zaklął lat,
Zawoła na mnie i wskroś pustych mroczy
Stracony dawno odnajdzie mój ślad.*

*Młodzieńcza miłość sama ku mnie wraca,
I co rozrzutnie strwonila bez słów
Jeszcze mi teraz, jak może, odpłaca
Czarem serdecznych i rozkosznych snów.*

*Jak zawsze z wspomnień i teraz wyrasta
Ulica, nocą szumiąca od lip.—
Oprawne w szafir kochanego miasta,
Złote topazy jasnych, znanych szyb.*

*Gdy noc zapadnie nieznany nikomu
Skrywszy się tutaj w pierwszą lepszą sień,
Śledzę jak w oknach mego z przed lat domu
Znaczą się Droga! Twój oraz mój cień...*

*O! dobry chłopcze! O mój: ja z przed laty!
Niech cię miłosna dziś upoi moc.
Nie wychodź z domu, bo tu ja na czaty
Ja, przeszłość twoja, wychodzę co noc.*

*A jeśli z lękiem pomyślisz dziś o mnie —
To za mnie także pieść ją i tul...
Ach! nie wiesz nawet, jak pali ogromnie
Wiecznej rozłąki ukrywany ból.*

Feliks Przysiecki.

NASZE HASŁA.

(Przyczynek do „nowych haseł“
= wielkiej wojny XX stulecia). =

Wszystko, co w tysiącletnim bytowaniu państwowem Polski szło po linii *prawa moralnego*, wszystko, co było wyrazem *rodzimych* natchnień ziemi Piastów i Jagiellonów, w obyczajach i ustawach państwowych narodu, gruntuwało ład, zgodę i porządek społeczny, w kierunku dobra, sprawiedliwości i miłości bliźniego, jako fundamentów *polskiego humanitaryzmu*.

Naród polski, z natury swych dziejowych powołań, szedł prawem i słusnością, „w unjach“ wiekopomnie „ludzkiego“ charakteru i w stosunku do złanych ze swą państwowością narodów. Dawał im „przywileje“ braterstwa i obrony, dzieląc się swym dorobkiem—klejnotów szlacheckich, jako „równy z równymi, i wolny z wolnymi“.

Nawet w czasach pogańskich, z ducha już chrześcijański, nie plamił się nigdy Polak krwi i żelaza nad słabszymi przemocą. Patryarchalny jego ustrój w rodzinie był zawsze stanowiskiem starszego po duchu do młodszej braci w rozwoju kulturalnym, nigdy czynem grabieżcy jej praw do *ludzkiego* życia i w ustawach Polski państwowotwórczej.

Ku najszlachetniejszym dźwigniom *duchowego* pierwiastka kultury sięgała już Polska w XV i XVI stuleciach, wierna sobie i swoim „znakom zawołania“, gdy dokoła niej jeszcze walczyły ciemne mroki—z prawem do życia społeczeństw—na ład boży, w świetle przewodnich gwiazd bytu człowieczeństwa.

Ku temu Polska szła z powołań swych dziejowych, po stopniach realizacji słowa swego bytu, *póki szła, wierna sobie*, drogą swych własnych natchnień. Tragizm dziejowy Polski, o jej odejście od siebie samej, za

wpływami obcości, a jej fatalnych na skład duszy polskiej nalożonych, w tych okresach życia narodu, kiedy „szatany“ upadku Polski zatrzymały jej duszę, działając po linii słabnącego oporu sumienia.

Z ręką na dziejach martyrologii polskiej wykazać można te jej zatrute źródła, przez które przemoc i gwałt, torowały sobie drogę zabójczych swoich poczynań.

Z tych to przesłanek dziejowych doświadczeń Polski wypływa jeden wniosek ścisły:

Sztandar moralny jest sztandarem bytu Polski.

Zbroja Sumienia najpewniejszą obroną narodu od wpływów, mocy istnieniu jego wrogich.

Wszyscy wielcy myśliciele Polski zdawali sobie i zdają po dziś dzień sprawę z potęg wartości *moralnych* w łonie polskiego narodu.

Z jasnowiedztwem genjuszów prawdę tę ujmowali zwłaszcza wielcy wieszczowie polskiego narodu. Każdy z tej trójcy wielkich świętych polskiego ołtarza narodowego czynił przy nim ofiarę w duchu najszczytniejszych natchnień boskiego tonu prawdy ludzkiej. Ze stanowiska wielkich *syntrz polskości* na tym szczyśle *duchowego* rozkwitu myśli twórczej, w dziełach swych dali Polsce *świętą księgę* jej *narodowego prawa*, o kartach wręcz ewangelicznych wskazań, niezawodnych drogowskazów, w znaczeniu *życiowego* dobra.

Te wielkie nasze hasła, to moc twórcza Polski.

W *czasie* być mogły one pokonane chwilowo, ale przy nich jedynie ostateczne zwycięstwo narodu Mickiewiczów, Słowackiego, Krasińskich i Kościuszków, a wraz z nim—świata kultury humanitarnej społeczeństw ludzkości.

Kto ma oczy ku widzeniu, dziś już widzi, jak pod koniec najstraszniejszej z wojen, zorze tej praw-

dy wschodzą pod postacią „nowych hasel“ wojny. Są to hasła: sprawiedliwości, hasła prawa ludów i narodów, hasła przemiany ludzkiego życia według wymagań *prawa moralnego i humanitaryzmu*.

„Nowe hasła“ wielkiej wojny XX wieku, to hasła odwieczne Polski, jej hasła bytu — „wiekuiste“.

Nasze polskie hasła!

Duchowych potęg życia moc jest niezniszczalna.

Z analogii stosunków lat czterdziestych wieku XIX, czasu nadejść mającej „wiosny ludów“, do naszej chwili dziejowej dnia obecnego, „czujna“ myśl polska czerpać może daleko idące wnioski — hetmaństwa Idei.

Wbrew wszelkim Massynisoni bytu Polski, w niej samej nadewszystko tkwi nerw jej odrodzenia.

W jej oparciu się *samowiednem* na prawie moralnem.

Księgi arcydzieł literatury polskiej, stanowiące dokument ważki do dziejów tamtej epoki, jako busola prawdy polskiej, spełnią i na dziś zadanie światłych *drogowskazów*.

...Wielkich hetmanów życiu polskiemu zabrakło.

Pozostały ich dzieła, a w nich święty testament do wypełnienia przez pokolenia, powołane do czynnego współdziałania we wskrzeszeniu Polski.

Oto „skład zasad“ prawdy polskiej:

„Słowo“ Boże, w Ewangelji zwiastowane, prawem narodów, ojczystem i społecznem.

„Ojczyzna—pole życia Słowu Bożemu na ziemi“ (A. Mickiewicz).

„Polska ma postawić dla globu całego wzór życia chrześcijańskiego, ma pośród narodów, wysokich i silnych pogaństwem, stanąć jako naród — wysoki i silny chrześcijaństwem“.

W tem znaczeniu będzie ona „początkiem nowego świata“ i jako taki, nieodbicie mu „potrzebna“.

Tu leży—słowo Wyzwolenia Polski.
„To los nasz, zakon,—to nasze sumienie,

„Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie“).

„Bo cel światów—szlachetnienie!“

Marja Czesł. Przewóska.

BEZ BUTÓW.

Mizernego, zbiedzonego, ubożuchno, lecz czysto ubranego, bardzo sympatycznego chłopczyne znałem z podwórza domu, w którym obaj mieszkaliśmy. Przychodził do mnie czasem po książki, niekiedy po pomoc w lekcjach.

Pewnego razu spotkałem go na ulicy, sprzedającego gazety.

— Cóż to?—zapytałem zdziwiony—do szkoły nie chodzisz?

— Chodzę, proszę pana, tylko...

— Tylko co?

— Buty zupełnie mi już z nóg zleciały. Mama powiedziała, że zamiast w takich oberwańcach, lepiej chodzić boso. Poszedłem boso do szkoły. Ale pan nauczyciel nie pozwolił. Mówi, że to bardzo niehygienicznie chodzić zupełnie boso i radził, by nosić drewniaki. Nie było za co kupić, więc przez parę dni sprzedaję kurjery, aby sobie na drewniaki zarobić. Pewnie już dziś zbiorę, ile potrzeba i będę mógł jutro pójść do szkoły.

Aż się rozśmiał z uciechy.

* * *

Będąc u znajomych, zastałem synka ich w porze szkolnej w domu.

— Czy słaby — pytam, — że nie poszedł do szkoły?

— Nie!—odparła matka z westchnieniem. — Ale buty ma już tak zniszczone, że wstyd je wiać na nogi. Właśnie staramy się o pieniądze na nowe buty i tymczasem Ignas musi siedzieć w domu.

— Czy to nie szkoda, że chłopiec tak lekcje opuszcza?

— Cóż zrobić!

— A tak, jak teraz, w tych maratońskich trepach nie może pójść do szkoły?

*) Z. Krasieński

— Zartuje pan? Chodził w zeszłym roku na wsi, na letniem mieszkaniu, teraz bierze czasem na nogi w domu, ale na ulicę, do szkoły w drewniakach ma chodzić?—oburza się matka.

— To tylko ostatnia hołota chodzi w drewniakach! — wtrąca zaindyczony chłopak.

— Tak nisko jeszcze nie upadliśmy —dodaje matka—aby syn nasz miał świecić hosemi nogami i stukać drewnianemi trepani!

*

Tamten, chłopak z ulicy, wyjdzie pewnie na ludzi. Ten gagatek może kiedyś nisko upaść!

M. Roman.

Myśl a bezmyślność.

Czem jest *chód* w zegarze, tem *myśl* w człowieku. Jak *chód* w zegarze *nie* może być przerwany bez pozbawienia wartości zegara, tak też i *myśl* w człowieku — bez pozbawienia wartości umysłowej człowieka.

Sprężynie, która sprawia *chód* w zegarze, odpowiada *ciekawość* w człowieku. Stanowi ona, przynajmniej w takim stopniu, wyłączne znamię jego człowieczeństwa. Przez naukę prowadzi do *wiedzy*, przez wiedzę dosięga w pojęciach *prawdy* w czynach — *twórczości*; przez *twórczość* — zdobywa *piękno*; w urządzeniach społecznych sprowadza *ład*, *spokój*, *wolność*; przez nie zaś człowiek wywalcza i zapewnia *dobro*.

Tego, co stanowi, *jak* myśli człowiek, dostarcza przyroda, a w niej — dziedziczność, przez długi szereg pokoleń uzyskiwana i zdobywana. Tego, *co* myśli człowiek, dostarcza życie, nauka, wiedza, a przytem ów poziom kulturalny, na którym postawiło człowieka urodzenie lub własna praca i zapobiegliwość.

Myślenie jest czynnością i jak każda czynność przechodzi na przedmiot. To, co myśli człowiek, staje się przedmiotem myśli. Nie dość jest wszelako myśleć o przedmiocie, to jest ów przedmiot w jakikolwiek

bądź sposób sobie przedstawiać. Należy przedmiot myślenia poznać, przenikać; należy dociekać w nim i o nim wszystkiego, czego tylko dociec można. Myślenie o przedmiocie powinno się wówczas stać i staje się *dociekaniem* istoty przedmiotu. Znaczenie i ważność przedmiotu myśli a siła i kierunek myślenia stanowią o wartości umysłowej i moralnej człowieka. Tylko *myśl dociekająca* jest właściwem *myśleniem*.

Nie zawsze atoli dociekanie to myśli, pomimo, że ono stanowi jedynie o wartości człowieka, bywało i bywa, jak o tem świadczą dzieje tego człowieka, *pożądaniem*. Owszem, częściej nawet, jak tego dowodzą te dzieje, bardziej za szkodliwe, niż za pożyteczne je poczytywano i na takim o niem pojęciu ostatecznie się zatrzymano. Jakoż życie ludzi tak się dziwnie układa, że *bezmyślność* w zwyczajnym jego biegu staje się główną cechą tego życia.

Skutki owej bezmyślności nad wszystkiemi zgoła zjawiskami życia się unoszą, na powierzchni tego życia, niby wierzchołki skał podwodnych, sięgających dna morskiego, zdradnie stercząc, grożą stale rozbićciem łodzi ratunkowej, zbawczym, choć spóźnionym prądem postępu poruszanej.

Przyczyn, wprowadzających ową bezmyślność do życia i je w życiu podtrzymujących, należy szukać nie tylko w lenistwie, niby wrodzonym człowiekowi, nie tylko nawet w niskim poziomie kultury danego narodu, lub zresztą w jego pochodzeniu rasowem, lecz przede wszystkim, i to głównie, w pewnych instytucjach społecznych. Dla tych to bowiem instytucji to dociekanie myśli w jej naturalnym rozwoju staje się zwłaszcza niebezpiecznem. I rzecz dziwna, a zarazem bieg spraw ludzkich wymownie wykazująca, im bardziej

jaka instytucja z takich sięga swym początkiem w czas ubiegły, im bardziej jej pochodzenie otacza mrok dziejowy, to jest, im jest starożytniejszą, [tem widoczniej bezmyślności pożąda, na niej się silniej opiera; skuteczniej do niej prowadzi, zawzięciej z dociekającą myślą walczy.

Płodem ostatecznym a widocznym dociekania myśli, nim ona przybierze formę i moc czynów, stają się utwory piśmienne. Walka z utworami piśmiennymi nie bywa bezpieczną. Zawsze zbyt głośna, okazuje się częstokroć nawet spóźnioną. Niszczenie pewnych płodów myśli w postaci utworów piśmiennych przytem nie stanowi jeszcze wszystkiego. O-*tóż zapobieganie* powstawaniu takich utworów zjawia się jako 'prosta konieczność.

Zapobieganie dwojakie nastęrcza sposoby: *przytępienie* myśli jako narzędzia i *odrywanie* myśli od dociekania, to jest, od swobodnego dobierania sobie przedmiotu myślenia, a to przez narzucanie jej stałe innego. Narzucany — powstrzymuje jej naturalny rozwój, dalej, zabiera jej czas, siły i chęci zapomocą zaprzętania jej drobiazgami nużącemi. Nakoniec oba te sposoby oderwą myśl od przedmiotu dowolnego i zatamują w rezultacie jej rozpęd. Przetaw-*szy* działać w jednej okoliczności, nie działa i w innych. Wyradza się *bezmyślność*. Zegar iść przestaje.

Bezmyślność staje się znamięnieniem społeczeństwa, w niem — koterji, partji, stanów. To wytwarza klęskę narodu, spowodowuje i utrzymuje jego upadek, tamuje rozwój wszelki, uniemożliwia postęp naturalny.

Przytępienie myśli jako narzędzia odbywa się w latach młodzieńczych jednostki ludzkiej. Odrywanie myśli od dociekania — przez całe życie człowieka. Lata młodzieńcze jednostka ludzka przepędza zwykle w szkole. Szkoła przeto, przynajmniej na

pozór, przedstawia się jako najprostszy ratunek w tej klęsce ogólnej, jako najpewniejsze lekarstwo zara-*dzające* złemu.

Korzystajmy więc z możności ratunku. Chwytajmy się lekarstwa!

Szkoła przedstawia trzy stopnie: jest ludową, średnią, uniwersytetem. Lecz by ów ratunek był skutecznym, lekarstwo — zbawczem, nie zapomina-*my*, że na pierwszych dwóch stopniach umysł wykładających nie powinien być znękany i wycieńczony pracą zarobkową; na wszystkich zaś trzech — przejęty i pochłonięty jakimkolwiek bądź dogmatyzmem.

Rozwijać umysł dziecięcy i młodzieńczy można tylko przez budzenie w nim, stałe utrzymywanie i podsycanie ciągle ciekawości. Uczeń, będąc prowadzony przez pedagoga (stad jego nazwa), dochodzi sam do pewnych rezultatów w myśleniu swojem, docieka, niby odkrywca dany fakt naukowy, wysnuwa samodzielnie, po ogniwie pojedynczem, łańcuch cały wiadomości. Myśl zatrzymana w czasach swego krzepnięcia na tem, czego dociekać nie może, jest jej wzbronionem lub utrudnionem, do czego, nie dość, że niema zachęty, lecz uczuwa jakby zubożenie, czego, kiedy zrozumieć nie zdoła i pojąć, to *to* pozostaje dla niej nadal nie rozumiałem i niepojętem, nie rozwija się, lecz się przytępia, słabnie i ostatecznie dętwieje...

Ignacy Radliński.

Potrzeba znajomości kraju.

Jednym z powodów naszych nieszczęść dziejowych była ta okoliczność, że sfery kierujące narodem zbyt mało brały pod uwagę czynniki przyrodzone kraju, jego warunki geograficzne.

Ten naród będzie się miał najlepiej, który najmocniej uwzględni warunki przyrodzone, który

zdoła najrozumniej przystosować się do potrzeb ziemi ojczystej.

Badanie kraju odkryje mu bogactwa i niedostatki, a świadomość ich, pozwoli mu wyzyskać należycie strony dodatnie i zastąpić braki innymi czynnikami natury materialnej lub nawet duchowe wartości, które można rozwinąć przez wychowanie.

To, co może być dobre dla Polaka, kształcącego się w Ameryce, może nie wystarczać lub może być niezupełnie odpowiednie dla Polaka, wychowywanego w Polsce i dla Polski.

Z tego właśnie powodu wynika istotna potrzeba gruntownej nauki o kraju ojczystym we wszelkich szkołach i na wszystkich poziomach.

Z tego też wypływa konieczność, by dobrze znali nie tylko cechy narodu, ale i właściwości ziemi ojczystej zarówno ci, co chcą rozumnie kierować nawą państwową, jak i ci, co pragną wskazywać drogi i cele kształcenia i wychowania młodych pokoleń dla dobra narodu, który w takich a nie innych warunkach geograficznych ma się rozwijać.

P. Sosnowski.

Stary dwór.

*Stary dwór widział wiele. Wtulony w lip sploty
Jeszcze bitwę, co w sadzie szalała pamięta —
Burza przeszła. Jaśminy znów pachną i mięta,
I ranek ze snu wstaje różowy i złoty!*

*W murach kule lkwia. Okna i drzwi potrzaskane,
I jeden biały filar sterczy, gdzie ganek,—
Na trawnikach dziewanna kwitnie i rumianek,
Winne liście bieloną oplatają ścianę.*

*Wiosna przyszła, ta sama dzisiaj, co przed laty,
I nowe życia tchnęła w sad, gdzie drzemią kości—
Przyszła z dobrą nowiną wiary i miłości!*

*I tam, gdzie kul szalała zamieć i szrapneli,
Brzęczą roje pszczoł skrzętnych, miodne pachną kwiaty
I dwór stary, jak dawniej, pośród lip się bieli!*

Zuzanna Rabska.

PRAWDZIWY PATRJOTYZM.

Prawdziwy patryjotyzm w życiu jednostki i narodu stanowi czynnik najwyższej wartości moralnej, bo „każdy z Was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile polepszyć i powiększyć duszę Waszą, o tyle polepszyć prawa Wasze i powiększyć granice Wasze” (Mickiewicz Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego).

Prawdziwy patryjotyzm nie posia-

da nic w sobie z bezwzględności, krzykliwości, szowinizmu; uznaje wielkość innych narodów i rozumie, że i one mogą swoją ojczyznę miłować; czci i szanuje wszystkich, co chlubnie zapisali się na kartach dziejów ogólnoludzkich.

Prawdziwy patryjotyzm nie jest wyłączny, ani zasklepia się w ciasnych granicach: obejmując całą historję Polski i wszelkie wielkości polskiej historji; chlubi się zarówno Kazimierzem Wielkim, jak Mickiewiczem,—

Skargą, jak Kościuszką, — królową Jadwigą, jak Szopenem, — Sobieskim, jak Sienkiewiczem.

Prawdziwy patriotyzm nie niszczy a udoskonala inne umiłowania; kocha bardziej swą wieś, swe miasto, swój teren pracy, dzielnicę kraju, gdzie wzrósł i żyje, niż inne — ponad wszystko zaś kocha Polskę.

Prawdziwy patriotyzm nie polega na frazesach i deklamacyjności; jest czynny i praktyczny — uczy nas działać, cierpieć i pracować dla Ojczyzny.

Prawdziwy patriotyzm każe nam szanować przedstawicieli władzy, — modlić się za pomyślność państwa, — przyjąć bez zastrzeżeń tę jego formę konstytucyjną, za którą opowiedziała się większość narodu, — chętnie ponosić ciężary społeczne, jak podatki, powinność wojskowa, służba obywatelska.

Prawdziwy patriotyzm zachęca nas do oświecania współobywateli, do szerzenia wśród nich zdrowych idei przez prasę, odczyty, broszury, — pomny, że nieprzyjaciele dobra publicznego zwykle mętnych źródeł szukają.

Prawdziwy patriotyzm opiera się na tolerancji i braterstwie; zwraca się najpierw do współrodaków; pragnie na podłożu wolności, równości i braterstwa ukształtować duszę narodową; szuka wszystkiego, co zbliża — unika, co rozdziela.

Nie możemy się spodziewać osiągnięcia takiej jedności moralnej, któraby wyłączała wśród nas konflikty w dziedzinie idei, poglądów, uczuć; ale niechże te konflikty będą rozstrzygane bez uprzedzeń i złej woli, w duchu istotnego liberalizmu, z ustawiczną troską o uszanowanie przekonań przeciwnika, z przeświadczeniem, że każdy z nas posiada prawa do równości, sprawiedliwości i braterstwa.

Ks. Jan Szmigielski.

Z refleksji pedagogicznych.

Od czego zacząć?

Nie może być dobrej szkoły bez dobrych nauczycieli, więc najpilniejszą sprawą jest kształcenie nauczycieli. Zakładajmy seminarja i kursy pedagogiczne.

Do seminarjum trzeba przyjmować tylko młodzież dobrze przygotowaną, tego przygotowania nie dają szkoły dzisiejsze. Pilniejszą więc jest reforma szkoły niższej i średniej!

Aby reformę szkoły przeprowadzić, trzeba odpowiednio przygotowanych nauczycieli!

Nie, nie wyjdziemy nigdy z tego błędnego koła, gdy będziemy tylko dyskutowali, od czego zacząć podniesienie oświaty narodowej!

Co tam dyskusz! Wszystko jedno, od czego zacząć, byle raz zacząć, byle raz przejść od słowa do czynu. A każdy czyn zaczyna się od silnego postanowienia. Postanowić może każdy tylko w swoim imieniu.

Więc postanówmy raz sobie, że będziemy się starali, aby żadna szkoła polska nie była złą szkołą i tępmi chwasty naprzód w sobie. Dzisiejsi nauczyciele nie są dostatecznie przygotowani, ale gdy tę świadomość powezmą, a zabiorą się do pracy nad sobą w imię miłości polskiego dziecka i sprawy oświaty polskiej, to doskonaląc siebie, podnosząc wartość swego nauczania, swoich metod pedagogicznych, zrobią ten pierwszy krok, który utoruje drogę młodym ich następcom, przez nas już w lepszych wychowanych warunkach. Byle raz tylko zacząć i zacząć naprawdę!

Wiedza i natchnienie.

Nauczyciel powinien mieć kształcenie ogólne, nauczyciel powinien mieć przygotowanie zawodowe. Gdzie tam! nauczycielem trzeba się

urodzić, trzeba mieć talent do nau-
czania, jak do muzyki. Cóż więc
tu potrzebniejsze: wiedza czy na-
tchnienie?

A ja powiadam: jedno i drugie,
a raczej coś trzeciego, co z połącze-
nia tych dwu pierwiastków po-
wstaje!

Wiedza — to erudycja, to zbiór
faktów, prawideł, formułek, zdań i
poglądów cudzych, to wierzechnia tyl-
ko warstwa naszego umysłu, to bo-
gactwo, ale pamięci tylko.

Natchnienie — to przejaw twórczości
nieświadomej, ale tkwiącej
głęboko w uczuciach, w poglądach
człowieka, ono wydobywa się z głę-
biny duszy. Do tej głębiny przeni-
kają i pojęcia naukowe takie, które
człowiek prawdziwie sobie przyswoił
t. j. przerobił, związał z całym
swym poglądem na świat, ukochał
jako myśl własną, jako przynależność
swej osobistości.

Taka tylko wiedza stanowi pra-
wdziwego nauczyciela, więc nie wo-

łajmy nieopatrzenie: precz z nauką!
lecz głośmy hasło: precz z nieu-
ctwem, ukrytym poza pozorami roz-
ległej wiedzy!

Nie straszne przekleństwo.

„Bodajeś cudze dzieci uczył!”

Nas to już dziś nie przestrasza, bo
przecież uczymy nie cudze, lecz swo-
je, *polskie dzieci.*

Anieli Szycówna.

Z Konr. Ferd. Meyera.

Wczoraj, w szafie porządkując,
wśród starzyzny znalazłam różnej —
Przek: zany mi od ojca —
pierwszy kubek mój podróżny.
Kiedym, nucąc sobie zcicha,
kurz zeń ścierał dookoła,
Zdało mi się, że wiatr górski
siwy włos mój zwiewa z czoła,
Zdało się, że pachną niwy,
Kędym drzemał w letnie znoje,
Że te wszystkie, z których piłem
na wędrówkach, szumią zuroje.

Alfred Tom.

Sen wybrzeża o morzach i mórz o wybrzeżu...

Życie to albo brzeg, na którym mieszka nuda —
albo morskich wycieczek zaradziecka uluda...

Kto jest na brzegu, mówi: „o jakże bogaty
widnokrąg tych, co mogą w nowe dążyć światy —
co to za rozkosz płynąć, płynąć z szumem fali,
marząc lądy nieznane, śniąc zamki z koralu”...
a gdy nareszcie morskie rozpocznie podróże,
przeklinać będzie rafy, mielizny i burze — — —

Kto jest na pełnym morzu, mówi: „o wybrani,
którym przypada dola w najcichszej przystani,
wśród pól, winnic, wśród wonnych ogrodów zieleni —
w pewności jutra żyją, jak w niebie zbawieni”...
a kiedy mu gościnę dadzą brzegi żyzne
przeklinać będzie dni jednostajnych szarż — — —

Więc, o zaspokojenie walczący szermierzu,
pomnij, że się go żadną nie dokupisz ceną —
zaspokojenia niema, a Szczęście to jeno

Sen wybrzeża o morzach i mórz — o wybrzeżu...

Anna Stłoczyńska.

UDRĘCZONEJ¹⁾.

Czeigodnej pani Antoninie
Wilkońskiej poświęca

Autor.

Mówiła, jakąś troską dreczona ponurą,
Że ją duch mizantropji opanował wraży;
Mówiła, że dziś dla niej głos ludzki torturą,
Że ją nawet rozdrażnia widok ludzkiej twarzy...

Mówiła, że ją fala udręczeń przenika,
Że w głębi swego serca czuje tylko zgrzyty;
Że w niej, niby uragan, złość szaleje dzika,
Że jej umysł kirami chmur czarnych spowity...

Tak poufnie, obecny stan swej duszy streszcza;
A choć niby jej słowa noszą prawdy znamię,
Czujesz, że, mówiąc słowy przepięknemi wieszczą,
„Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie...”

Bo w tej czystej, przezacnej a wrażliwej duszy
Tyle uczuć szlachetnych skłębiło się na dnie;
Że ich żaden zgrzyt przeczeń opornych nie zgłuszy,
A po czynach wnet każdy treść serca odgadnie.

Więc skądże jad wrzekomy w tem sercu gołębia?...
Skąd złość ta, co pozornie zatruwa jej duszę?...
Któż z nas jej nie doświadcza, gdy myśl swą zagłębia,
W obecnej, przestraszliwej świata zawierusze?!

Któż z nas dziś na hjobowej nie stanął Golgocie,
Tak morderczo dla gniewu, dla uniesień żyznej,
Gdy się wskroś zazębiają w gigantycznym splocie
Udręczenia jednostek z mękami Ojczyzny!...

Tu dziecko, niby ptaszę wyrwane ze stadka,
Za macierzgą, za ojcem, za rodzeństwem kwili;
Tam, w rozłące z drogimi, bliska szalu matka,
Jakby ją nagle żywcem do trumny złożyli...

Mąż — żony, żona swego poszukuje męża;
Tu siostra, żyjąc łzami, wciąż myśli o bracie;
Tam ojciec, bez rodziny, chory mózg wyteża,
By mógł cudem znekanych utulić w swej chacie!...

Wczorajsi, tak zasobni, a dzisiaj żebracy,
O ratunek za morza wołając napróżno,
Muszą dziś na obczyźnie, bez środków, bez pracy,
Albo z głodu umierać, albo żyć... jałmużną!...

¹⁾ Wiersz ten był wypowiedziany przez autora na zebraniu kolonji polskiej u pp. Paderewskich w Riond Bosson, w styczniu 1915 r.

Dziś każdemu z tej rzeszy rozbitków strapionej,
Ból we dnie grozi szattem — nocą sen odpędza:
Bo wyciąga już ku nim swe krwiożercze szpony
Tak bliska, a tak straszna w swej ohydzie nędza!...

W nas wszystkich gniew bezsilny, jak orkan się miota,
Że nie możemy niw polskich zażegnać ruiny;
Że w mękach bezgranicznych, w morzu krwi i błota,
Śród szlendarów nam wrogich giną nasze syny!...

Nam wszystkim dziś sądzono dantejskiem żyć piekłem,
Bo, gdy nasza nad Polską krąży myśl skrzyalata,
Dyszym kłatwą, że w losów powikłaniu wściekłem
Polak miazdży Polaka, brat morduje brata!...

Są chwile, że gad bólu wewnętrzności nam targa,
Że mógłby jakiś tuman ołowiem przysgniała,
Że z usł się wydobywa przekleństwo lub skarga...
Że w pierściach mamy harpie, a w myślach swych, kata!

Są chwile!... Bo gdy nasze pękają okowy,
Gdy się w krwi i poźodze auch ludzki przetwarza;
My, nędzni, i w tej nawet dobie epokowej,
Uciekamy ze wstrętem od zgody ołtarza!... . .

Gdy hasło Polski wolnej po świecie rozbrzmiało,
Gdy się hufiec potężnych przyjaciół jej mnoży;
My i dziś, swą postawą, w niewoli skarłała,
Przejawiamy trwożliwość... kundla na obroży!...

W nieufności, że Polska wnet wskrześnie z mogiły,
Nikt się z nas o był wolny dziś jeszcze nie stara,
Lecz wszyscy w dawnej skórze niewolników zgnielej,
Znoszą ucisk — wbrew szumnej zapowiedzi cara!...

Wielki książę manifest obwieszcza gołębi,
Że dawne naszych ojców chce ziścić marzenia;
A Polskę wciąż plugastwo czynownicze gnębi
I drwiąc z cara, systemu swych rządów nie zmienia!...

Czyliż nam z wiarołomstwa nieznani Moskale?...
Toż widzimy, co w ich mózgu dla Polski się knowa...
Czemu gnębią już dzisiaj polską duszę Lwowa
I dawnych u nas katów hodują wytrwale?!...

O Panil!... toż w nas wszystkich dziś wściekłość się sroży,
Wszyscy pławimy się w buncie wewnętrznego szale,
Czekając jaki jutro zagrzmie wyrok boży:
Czy Polską władać będą ludzie... czy szakale!...

A jednak, mimo takie serce naszych męczarnie,
W których toniemy bezradni, zgorzkniali a ślepi;
Duch ku słońcu nadziei przebojem nas garnie
I hymnem Zmartwychwstania udreńczonych krzepił...

Juljan Adolf Świąciecki.

Stary foljał.

W chłopięcej jeszcze dłoni niosąc foljał stary,
Szedłem w sad, w lip zacisze, gdzie żaden z oddali
Głos nie dochodził, jeno szum złocistej fali
Zbóż gwarnych płynął z wiatrem pod wielkie konary.

Czytałem... Dziwne słowa szeptał papier szary...
W gąszczy drzew tłum widm groźnych jawił się we stali. —
— Srebrna gra zbroic dotąd w oczach mi się pali. —
I wyczytałem z księgi swej ten dogmat wiary:

Być rycerzem sztandarów jeno tych, co z krwawej
ognia wstały topieli i ku słońcu wiodą
i tym jeno zaprzysiąc miecz i siłę młodą;

i być zdobywcą wolnym tej jedynej sławy,
której się blask zaczyna li za grobu progiem, —
i pobratymstwa z żadnym nie zawierać wrogiem.

Zdzisław Sienkiewicz.

W sile uczucia moc nasza.

Przed miesiącem niespełna wyszła książka, o której nie mogła jeszcze wypowiedzieć się prasa: pamiętnik młodej dziewczyny,¹⁾ którego opracowanie rodzina powierzyła niżej podpisanej. Zostawiło go dziecko prawie, ale może dlatego właśnie stanowi ciekawy i jedyny w swoim rodzaju dokument.

Tylko „kraj mogił i krzyży, gdzie dzieci są jak starce”, mógł wydać takie plony.

Na przelomie Polski, kiedy w krwawej mecie do nowych przeznaczeń dźwiga się naród, — głos dziecka — z za grobu, może doda bodźca wątpliwym, może dźwignie osłabłych, może poprowadzi przed ołtarz ofiarny.

Pamiętnik Marji Justyny Zaleskiej stwierdza to żywe źródło narodowej siły, która tkwi w głębi

uczuciowości naszej i jest, jak płomień zatajony, wybuchający luną ognistą za dotknięciem najsłabszej iskry zewnętrznych bodźców.

Urodzona na Syberji, z rodziców dobrych polaków, wychowana w Petersburgu, mimo czysto polskiego domowego otoczenia, M. J. Zaleska nie czuła w sobie polskości: ciążyła raczej ku Wschodowi, a marzeniem jej było — gdy od wczesnego dzieciństwa rozbudził się w niej talent malarki i rzeźbiarki — zostać sławną i oddać prace swoje do Muzeum Aleksandra III....

Nie pociągała jej przeszłość własnego narodu. Gdy namawiano ją na podróż do Krakowa, stawiała opór: wołała jechać do źródeł i skarbów sztuki zachodniej: Monachjum, Drezna, Lipska, żeby nabrać tam szerokiego tchu artystki.

Jednak — znalazłszy się w Krakowie — doznała nagłych olśnień: zrozumiała *polskość* w sobie — Otworzyły się oczy jej duszy, na zjawie zatajonej; wypełrzyły z kątów podświadomości radosne podszepty: „polką, polką jestem!”... objął całą istotę

¹⁾ „Z księgi życia“ — Pamiętnik Marji Justyny Zaleskiej (Męczeństwo, mistycyzm i ofiara polskiego dziecka). Nakładem Kasy przeczności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

plomień nagle zbudzonego uczucia, które już odtąd stało się nutą przewodnią krótkiego jej życia.

Na Kopcu Kościuszki ślubuje, że talent swój i wszystkie ambitne marzenia poświęci dla Polski; że raczej spłonie na ołtarzu ofiarnym, aniżeli odejdzie od przyrzeczeń swoich.

Dotrzymało słowa dziecko polskie: spaliło się, jak iskra, której czysty płomień uleciał w przestworza, zostawiając tu na ziemi stwierdzenie tej żywej prawdy, że serce polskie jest tym najczulszym, najwrażliwszym kamertonem, w którym tkwi źródło i pieśń i hasło — pobudka i dreszcze narodowych odrodzeń.

Nie z kombinacji politycznych

wstawały polskie irredenty, które— od stu lat niewoli—wybuchaly setką zarzewi. budzących czucia uspięne.

Nasi Poniatowscy, Kościuszko, Kliński, Mochnacy, Dembowscy, Traugut, Toczyscy, Krajewscy—to były żagwie serdeczne, od których szedł pożar na Polskę

Sercem naszym jesteśmy niezniszczalni. Wysycha mózg, tknięty hipertrofią; zawodzą szachownice polityczne: serce trwa...

To serce polskie, unurzane w krzywdzie; krzywdą, która każe czuć, krzywdą—bodźcem—ostroga—cierpieniem krwawiącym budzone wciąż do głosu.

C. Walewska.

OBOLE.

Stańło między nami całych pięć oboli — — —

i ja już nie śmiem w atrjum twego domu stanąć,
gdzie Lary i Penaty skrzyń twych strzegą święcie.

O, przyjacielu miły, jakże serce boli...

(Ironja z ust na chwilę odjęła pieczęcie)!...

Byliśmy niegdyś, jak Pilad z Orestem

w pomyślniej dla mnie doli,

a kiedy mnie Fortuna jednym władnym gościem

straciła z wozu szczęścia pod swoje sandały —

stała się nasza przyjaźń, jak cień wynędzniała — — —

i leży między nami pięć drobnych oboli...

Czemużem żądał wtedy, na przyszłość nie bacznym,

tej sumy z twojej kieszy?.. Nie całe twe mienie,

nie złociste łańcuchy i cenne pierścienie

zmusiły mnie do nędznej omijacza roli,

tylko te pożyczone w nieszczęsnej godzinie

pięć oboli.

I kogoż o ten czyn obwinie?

Czyli siebie, czy ciebie, czy też Los opaczny?

Tybyś jeszcze wyciągnął hojne twoje ramię,

lecz moja duma sytość przed twym wzrokiem kłamie,

o druhu złotosiejny!...

Więc dziurawą togę

ułożywszy misternie, mijam z dobrej woli

do domu twego piaskiem usypaną drogę —

i wtedy mocnym bywa krok zazwyczaj chwiejny,

bo toczy się przede mną pięć twoich oboli.

A tak się dziwnie staje,

o druhu mówiany,

że mijam ulic wiele,

zwiedzam świątynie i gaje,

a nigdy Los nie dozwoli,
abyś z za jakiej ściany
lub z drzew mroku w słoneczne topiele
wyszedł niespodziewanie
na przygodne ze mną spotkanie —
i krzyżuje nam drogi pięć drobnych oboli.

I tak się dziwnie staje, o przemysłosierny,
że choć w mej nędznej norze
długie spędzam chwile,
w żadnej się smutku godzinie i o żadnej porze
(choć i nieraz wmyślnie zawory uchylę)
nie słyszę, abyś ku mnie pospieszał powoli...

Ach, żaden ci drzwi moich nie wskaże odzwierny...
tak je szczelnie zakuwa pięć srebrnych oboli.

Zofja Wojnarowska.

Nasz lud rolny w czasie wojny.

Gdy „my” tu w Warszawie, t. j. inteligencya, dzielimy się na liczne partje, szukające oparcia w tej czy innej orjentacji, „oni”, t. j. lud wolny w Królestwie mozolnie i pracowicie, samorządny, bo nie oparty na poprzednim przygotowaniu wyśiłkiem, buduje Polskę od podstaw, dając oparcie dla jej przyszłego, niepodległego bytu w sile wewnętrznej, tak ekonomicznej, jak społeczno-kulturalnej.

Ten, co trzymał w swoim ręku lwią część naszego stanu posiadania i twardo przy niem stał, obracając na kupno ziemi wszelkie, zarobione, nieraz nadludzkim trudem na obczyźnie, pieniądze, dziś odczuł i zrozumiał, że aby mózgi ten stan posiadania w dalszym ciągu, przy zmienionych warunkach, utrzymać, musi być o całe niebo mądrzejszy, lepiej niż dotychczas do tego celu przygotowany. Pogarnął się więc nasz lud rolny niemal żywiołowo do oświaty, szuka jej namiętnie i jej ośrodki sam sobie stwarza, dąży do organizowania placówek ekonomicznych, zrzessa się w rozlicznych celach kulturalnych i wykazuje, że jest wartością odrębną, bardzo cie-

kawie zróżniczkowaną, posiadającą w sobie wszechstronny materiał do odbudowania i odrodzenia narodu, kto wie czy nie na zdrowszych i gruntowniejszych niż dotychczas podstawach. Nie myślę utrzymywać jakoby w tym „świecie” mało przez „nas” znanym i docenionym, znajdowały się same jednostki dodatnie i twórcze; przeciwnie, znajdziemy w nim każdą odmianę ludzkiego typu, od idealistycznego altruisty począwszy, do sobka, ciasnego egoisty i chciwca, a nawet do osobnika o zdecydowanych instynktach zbrodniczych. Gdy jednak ogarnąć zechcemy całość, nie zatrzymując się z uprzedzeniem na objawach ujemnych i szkodliwych, gdy wreszcie uprzytomnimy sobie cały fatalizm warunków wychowawczych, w jakich ta najliczniejsza warstwa narodu od wieków się znajdowała, zadziwi nas wprost, że pomimo wszystko, uniała ona przechować w swoim łonie, czysty typ piastowskiego gospodarza, który nad mórzeniem wad i błędów, góruje i swoisty charakter całej masie nadaje. Tkwi w nim poczucie ładu, znajduje się bogactwo zdolności organizacyjnych, połączone z dążeniem do harmonijnego układu stosunków społecznych, dalekiem od panujących gdzieindziej bezrządu i anarchji.

Nie chcąc wygłaszać gołosłownych frazesów, nie popartych rzeczywistymi faktami, zaznaczę w krótkości objawy, które zaszły na terenie wsi polskiej, w ciągu wielkiej wszechświatowej wojny, a które może posłużą za materiał do wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

Odpowiedzą nam one na trzy następujące pytania: 1) Czy lud rolny w Królestwie, w całej swojej masie, zachował się biernie wobec kataklizmu dziejowego, który Ojczyźnie jego zapowiadał wyzwolenie? 2) czy zdradza on dostateczny zapas środków do zdobycia sił kulturalnych i do wyrównania w tym względzie innym szczęśliwszym, bo swobodniej rozwijającym narodom; 3) czy wreszcie jego zdolności twórcze na polu pracy ekonomicznej, dadzą mu poczesne miejsce we współzawodnictwie z innymi, uzbrojonymi już do walki ekonomicznej, narodami?

Odpowiedź na pierwsze pytanie da nam żywy, podziemny a zatem nie znany i nie zbadany jeszcze przez ogół, ruch odporny antyrosyjski, jaki zbudził się w południowej części kraju, szczególnie w pierwszej połowie wojny, związany on był ze sprawą legionową i skończył się wywiezieniem w głąb Rosji przez władze, jego uczestników. Ktoby jednak sądził, że został on stłumiony i że zanikł jako ruch patryotyczny w tej czy innej formie, niech śledzi uważnie nastrój całego szeregu obchodów pamiątkowych, niech policzy ilość wieców urządzanych na wsi, na których coraz śmielej wyłaniają się zarysy przyszłego republikańskiego ustroju, a przekona się, że mamy w naszym ludzie bogaty materiał państwowo - twórczy. Realny zmysł chłopski nie poprzestaje jednak na samych obchodowych, zewnętrznych objawach, pragnie dążeń swoje w konkretnej formie utrwalić i tu wkraczam

w dziedzinę dążeń kulturalnych, dając zarazem odpowiedź na drugie zapytanie. Wśród setek szkół początkowych, obecnie staraniem i nakładem gmin zakładanych, wyróżniają się te, co mają na celu uczczenie tym sposobem rocznicy Kościuszkowskiej. Założenie jednej z nich we wsi Nieskórzu, w Łomżyńskim, zostało poprzedzone następującym aktem erekcyjnym: „W chwili, gdy zajaśniała nam nadzieja odbudowy państwa polskiego, chcemy przyłożyć cegłę do tej budowy i sądzimy, że będzie nią taka szkoła, w której synowie nasi na obywateli kraju wyrabiać się będą”. Trudno dziś już zliczyć ilość kół samokształcenia założonych wśród młodzieży włościańskiej, związków, w których samorzutnie odbija się wskrzeszenie ruchu filareckiego, z jego najlepszymi ideałami; łączą się tam bowiem dążenia etyczne z kulturalnymi. W niektórych okolicach kraju tworzą się już całe kompleksy urzędzeń ze szkołami średnimi, gospodarczymi, kursami ogólnokształcącymi, jak: we wsi Kacice w Pułtuskim, w Będkowie w Brzezińskim, w Rożniszewie w Radomskim, w Winnicy pod Serockiem i t. d. Ciekawy objaw zaznaczył się wśród włościan zamieszkujących wsie przyległe Raławicom i Rzędowicom otóż władze okupacyjne zainicjowały tam pomnik dla Kościuszki na polach Raławickich, gminy jednak po naradzie zdecydowały zebrany fundusz obrócić na szkołę zawodową „będzie to najlepszy, bo żywy pomnik dla Naczelnika”. Wielkie znaczenie ma ruch w kierunku uzdrowotnienia i podniesienia samorządnych stosunków gminnych. Postulaty stawiane przez inteligentnych włościan, stanowią podstawę do ogólnego sejmiku polskiego, samodzielnie przez lud zbudowaną.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na zapytanie, czy nasz lud posiada wybitne zdolności twórcze w dziedzinie ekonomicznej? Odpowiedziały już na to spółki zarobkowe w Poznańskim, rozwój kooperatyw kredytowych w Królestwie i Galicji, w czasie zaś wojny zauważyć się dały przykłady doskonałego organizowania się w dziedzinie aprowizacji. Stworzono wiele sklepów współdzielczych, a nawet taką wspólną działalność, jakiej dało przykład 26 wsi w Puławskim, gdzie wybrani przez ogół gospodarze zajęli się sprawiedliwym rozdziałem przyznanego przez władze kontyngentu i doskonale to uskuteczнили. W czasie wojny też powstała już pewna ilość chłopskich spółek budowlanych, opałowowych i t. p., co świadczy o przeczornem przewidywaniu.

Wszystko to robi się samorzutnie, siłą impulsu utajonego, który ujawnia się w kierunku dla budowy Państwa polskiego najbardziej pożądanym.

*

W czasie „wiosny ludów” 1848 r. gdy objawił się w wielkim, spon-

tanicznym wybuchu problem narodościowy, który odtąd z mniejszem lub większem natężeniem, stale dążyć będzie do swego rozwiązania, Adam Mickiewicz w paryskiej Trybunie ludów, zastanawia się w szeregu artykułów nad układem sił wewnętrznych wśród wybijających się na wolność narodów. Na podstawie faktów i objawów wyrokuje on dopiero o ich zdolności do życia samodzielnego, do wszechstronnego rozwoju.

Znamienną jest szczególnie ocena wartości duchowej, rozważanej pod kątem czynnego, zdolnego do ofiar patriotyzmu szlachty, arystokracji, ludu i duchowieństwa we Włoszech, dążących wówczas do niepodległości i zjednoczenia.

Może ta krótka charakterystyka działalności naszego ludu rolnego w Królestwie, w czasie wojny wszechświatowej, będzie przyczynkiem do szerszych, wszechstronnych badań nad całym społeczeństwem polskim, na które czekamy, i których pragniemy, jako obrachunku naszego narodowego sumienia.

I. W. Kosmowska

Z chwili.

O nasze hasła świat walczy z Rozbojem,
O nasze hasła świat walczy z Grabieżą,
O nasze hasła skronie zrasza znojem,
O nasze hasła krwią ocieka świeżą...

Bo tylko one, co pierś nam puklerzą —
Bo tylko one, gdy je w sercu swoim
Rzecz ludzkość uczci — narocy sprzymierza,
Bo tylko one mogą być — POKOJEM!

...Hańba ci, dziczy, coś łup rzeczą świętą
Mieniać — tysiące własnych istnień kładła
O to, co sama przyznajesz, żeś skradła —

I co dziś tobie tymże łupem wzięto...
O, wejrzyj w dzieje swe, z strachu pobladła,
I tym, co jeszcze cześć łup, krzycz: *Memento...*

Henryk Wroński

Co mówią oczy dziecięce?

Gdziekolwiek ruszymy się, wszędzie spotykamy dziecko... Widok jego spowieszniał nam, nie zatrzymuje uwagi, nie budzi myśli. A ono jest wszędzie jako świadectwo niezłomnej potęgi życia, jako „nasza przyszłość“. Wszędzie też spotykamy się z jego wzrokiem, z temi dziwnymi oczami małego człowieka. Patrzą one na nas w domu zamożnym z poza mgły lekkiej sytości i zadowolenia; wyglądają trwożne, podejrzliwe z komórki stróża i zaułków miasta; sypią iskrami radości z parków nielicznych i placów zabawy; mówią językiem bólu przedwczesnego, przytulone do wyschłej piersi matczynej... Patrzą tylko, a zobaczycie je wszędzie. Patrząc uważnie, a odczytacie w nich jedno wołanie, głos wielki życia. — Otworzono nas bez naszej woli, otworzono na ten świat szeroki, taki twardy często i taki obojętny.

Możemy brać w siebie wszystko, co dobre i piękne, możemy brać z radością, która jest dla nas, jak matka. Tęsknimy do słońca, do jasnej pogodnej twarzy, do waszej dobrej i mocnej ręki, do waszego czującego serca ludzkiego...

Cieszyć się będziemy z wami widokiem pól i lasów ziemi naszej, sięgniemy, hen wysoko, do gwiazd Bożych, zapalimy się łzą gorącą nad niedolą człowieka. Wszystko, co wasze, co dobre—może być naszym. Dajcie nam, dajcie, bo my po przez wesele swe zdrowe lub smutek słaby patrzymy w przyszłość, w tę naszą przyszłość, my ją oglądać będziemy tak, jak wy oglądacie nas.

Jak odpowiadamy my na to wołanie? Robi się, co może — brzmi stereotypowa odpowiedź. Powstają szkoły, towarzystwa oświatowe, pracują setki i tysiące ludzi. Mało jeszcze, mało... Czy dziecięce wołają do wszystkich, do każdego, głos ich jest

głosem życia, głosem sumienia zbiorowego. W nich odczytać możemy nakaz kateryczny naszego obowiązku społecznego, zdrowego i silnego instynktu samozachowawczego. To, co zrobimy dla dziecka, zrobimy dla naszego narodu i dla ludzkości, a miara nas ej pracy tutaj jest miarą naszej kultury.

Patrzymy uważnie w oczy dziecięce, patrzymy pogodnie i śmiało.

L. Zarzecki.

KRZYWDA.

Błotnista chmurna droga... Wierzchy drzew nagich giną w dżdżu szarzyźnie, jak w smutku snów najdroższych
[czmierzchy.

Na biednej serca ojcowiznie wróg—los położył dłoń swą ślepą...
Rozpacz się wlecze po płaszczyźnie

pól i pod szarą chmur polepą zmęczona klęka i jak dziecię płacze. Ach, nic to!—Noc swą krepą

czarną owinie zmarłe kwiecie,
a jutro zczęźnie łez przyczyna:}
rozsadek łez przyczynę zgniecie.

Świt każdy w złudach się poczyina,
i złudą jest, co wiosnę smucil..
— Drogą, w dal smutna szła dziewczyna...
[czynna...

Jest w ciszy coś, co ciszę kłóci. —
Dziewczyna myślą była cicha:
„Przeszło, minęło... już nie wróci...“

Nazbyt spokojnie świat oddycha ciszą, co ból zasłania krwawy.
A wszak w jedną rozpacz spycha

duszę śmierć złudy i śmierć jawy,
jednakie ły są w każdej męce,
jednakie grób porosną trawą,

cokolwiekby grzebały ręce...
A złudy — jawą dla zarania!
O, zapoznane ły dziewczęce,

Smutku samotne pojednania,
Niezapłacona niczem krzywdal...

Zygmunt Hłafki.

Warszawskie Stow. Spoż. d. „Merkury”

założone w 1869 r.

Najstarsza i największa kooperatywa spożywców w Warszawie, oparta na ustawie normalnej i prowadzona podług systemu roczdalskiego. Merkury liczy obecnie przeszło **1000 członków udziałowców** i posiada 9 filji:

1)	Stare Miasto	21
2)	Żelazna	31
3)	Grzybowska	69
4)	Chłodna	68
5)	Dzika	74
6)	Nowosenatorska	8
7)	Dzielną	74
8)	Kredytowa	16
9)	Pańska	66

Merkury prowadzi **2 własne piekarnie**: Grzybowska 51 i Chłodna 10, gdzie wypieka się przeszło 30,000 funtów chleba dziennie.

Ponadto prowadzi **dział ziemniaczany** dla realizowania paszportów ziemniaczanych.

Liczba pracowni i robotników zatrudnionych w Merkury wynosi 85 osób.

Dyrektorem kooperatywy jest radny miejski Wincenty Sikorski.

Obrót handlowy w 1917 r. wynosił Mk. 1,350.000.

75

KOOPERATYWA Stowarzyszeń Warszawskich

Nowogrodzka 48,

Żórawia 26,

Sienkiewicza 2,

Marszałkowska 36.

Rozumowania najślawniejszych w świecie socjologów i ekonomistów streszczają się w słowach: „Jeżeli sam nie możesz czemuś podołać, to połącz się z innymi, którzy tego samego pragną, a osiągniecie cel pożądanym” gdyż, jak mówi przysłowie: „Gromada to wielki człowiek”.

A więc łączcie się w gromadę, nabywajcie udziały (począwszy od 25 marek) Kooperatywy Stowarzyszeń Warszawskich w celu powiększenia kapitału obrotowego, a otrzymacie nie tylko teraz, ale i w przyszłości (o której pamiętać trzeba): dobry towar po niskich cenach, sprawiedliwą wagę i miarę.

77

POŁOŻENIE SPOŻYWCY

- Spekulant
- Hurtownik
- Agent
- Sklepiarz
- Spożywca

oooooooooooooooooooooooooooooooo

Mieście litość nad biednym spożywcą, przywalonym tak strasznym ciężarem i procentami, które każdy z kolei czerpie z jego kieszeni!

oooooooooooooooooooooooooooooooo

Spekulacja — a Kooperacja



Zależność chudego spożywcy od tłustego kupca w sklepie prywatnym.



Jak teraz wygląda tłusty kupiec w swoim sklepie, po otwarciu, przez spożywców, własnego sklepu naprzeciwko.



Kupiec — wobec solidarnego zachowania się spożywców — zamknął własny sklep i poszedł na subjekt do stowarzyszenia. Teraz — bez niczyjej krzywdy i jemu i spożywcóm dobrze się dzieje.

Koło Kooperatyw przy Wydziale Zaopatrywania m. st. Warszawy

Rymarska 8.

współdziała w dostarczaniu Kooperatywom: kartofli, drzewa, masła, jarzyn świeżych i suszonych oraz innych produktów w ilościach hurtowych.

Zarząd Koła: **Mirostław Grendyżyński, Winoenty Sikorski i Stefan Baum.**

Magistrat m. st. Warszawy.

WYDZIAŁ ZAOPATRYWANIA MIASTA

Warszawa, Rymarska Nr. 3.

30	Biur w Centrali.
26	„ Okręgowych.
100	Sklepów Miejskich.
163	Składnice chlebowe.
29	Bazarów ziemniaczanych.
12	Składów Towarowych.
11	„ Ziemniaczanych.
2	„ Warzywnych.
1	„ Paszy.
6	„ Opałowych Hurtowych.
60	„ „ Detalicznych.
19	Piekarni.

PIEKARNIA DOŚWIADCZALNA, SU-
SZARNIA WARZYW, FABRYKA
OBUWIA, PACZKARNIA.

Obrót Roczny

(Wartość dostarczonych mieszkańcom towarów)

100 000 000 Mk.

Waga — **20 000 000** pudów (**30 000** wagonów).

Pracowników stałych — **1 200.**

Robotników — **1 500.**

S. HISZPAŃSKI **SZEWCE MĘSKI I DAMSKI**

Warszawa, ::
Krak.-Przedmieście 7.

Istnieje od r. 1838

Poleca obuwie
wykwintne a trwałe.

MAGAZYN BŁAWATNY **Edmunda Makowskiego**

Plac Małachowski 2, róg Traugutta

Wielki wybór materji jedwabnych,
wełnianych i bawełnianych.

Ceny nizkie i stałe.

Filja: Praga, ul. Targowa № 12.

Księgarnia M. ARCTA w Warszawie

NOWY-SWIAT № 35.

POLECA NAJWIĘKSZY WYBÓR KSIĄŻEK
- PEDAGOGICZNYCH I POPULARNYCH -

Dla szkół, nauczycieli, dzieci, młodzieży i dla ludu.

4

NAJNOWSZE KATALOGI WYDAWNICTW WŁASNYCH:

1) PEDAGOGIKA. PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

2) NA PODARKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY
I DOROSŁYCH.

3) BIBLIOTEK POPULARNYCH DLA DOROSŁYCH:

Biblioteczka dzieł społeczno - ekonomicznych Biblioteczka historyczna. Biblioteczka narodowa. Kłosa Ojczyste. Książka dla wszystkich. Podstawy wykształcenia współczesnego.

4) BIBLIOTEKI POPULARNE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:

Moje książeczki. Teatrzyk amatorski. Zajmujące czytanki. Biblioteczka narodowa. Powieści historyczne.

4

NAJNOWSZE KATALOGI WYDAWNICTW WŁASNYCH

Wysyła na każde żądanie darmo i opłatn o.

2

Bracia Pakulscy.

Składy win i towarów kolonialnych

BRACKA 22 (róg Chmielnej).

Oddziały: Marszałkowska 110, Marszałkowska 57 (róg Koszykowej).

Bank dla Handlu i Przemysłu w Warszawie

Instytucja Centralna, ul. Romualda Traugutta 8.
Biura Wymiany, ul. Romualda Traugutta 8.
I Oddział Miejski, ul. Marszałkowska 83 (róg Hożej).
II Oddział Miejski, Praga — Targowa 31.
Oddział w Łomży z Agenturą w Grajewie.
Oddział w Siedlcach z Agenturą w Międzyrzeczu.

Kapitał zakładowy Mk. 10.800.000.—

Fundusz rezerwowy Mk. 601.313.98

Maszyny i narzędzia rolnicze

najlepszych fabryk
zagranicznych i miejscowych.

Wirówki i naczynia mleczarskie.

Nasiona pastewne.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

9

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

WARSZAWA, Miodowa 4.

WILNO, Św. Jerska 32.

TOWARY ŻELAZNE I NARZĘDZIA

Artykuły gospodarsko-rolnicze.

Okucia do drzwi i okien.

Naczynia i przybory kuchenne

polecają:

KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE, PLAC TEATRALNY.

10

Firma istnieje od 1850 r.

ZAKŁADY OGRODNICZE
„BRACIA HOSER”

Warszawa, Jerozolimska 59.

polecają: **NASIONA, DRZEWKA, ROŚLINY, CEBULKI.**

Genniki na każde żądanie bezpłatnie.

12



ROBERT BOTHE,
WARSZAWA, UL. NOWY-ŚWIAT Nr. 34.

Specjalna i najstarsza fabryka
Skarbców Bankowych
i kas stalowo-pancernych
 i żelaznych ogniotrwałych.

Egzystuje od 1840 roku.

Przyjmuje się wszelkie roboty w zakres
 fabrykacji wchodzące.

78

Telefon 10-46.

ANTONI SUJKOWSKI
GEOGRAFJA ZIEM DAWNEJ POLSKI

z 204 ilustracjami i 48 mapami

Cena Mk. 36.

„To jest książka dla wszystkich, którzy mówimy, czujemy i myślimy po polsku, a którzy nadto pragniemy dla Polski żyć i dla jej przyszłości pracować“.

Z. Dębicki (*Kurjer Warsz.* 14.IV.18).

NAKŁAD TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

52

KAROL KUBALSKI **MAGAZYN**
KONFEKCIJ MĘSKIEJ

WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 7

na sezon wiosenny poleca kapelusze, laski, krawaty, rękawiczki,
 bieliznę w wielkim wyborze, trykoty.

54

WINA

Z ZAPASÓW PRZEDWOJENNYCH
 WĘGERSKIE, BORDOSKIE, BURGUNDZKIE,
 HISZPAŃSKIE, PORTUGALSKIE, VERMOUTH I T. D.

MIODY

STAROPOLSKIE I HETMAŃSKIE.

KONIAKI, LIKIERY I ARAKI ZAGRANICZNE

79

POLECA HUR-
 TOWY SKŁAD

F. VENULET i S-KA **WARSZAWA**
 SENATORSKA 8.

Księgarnia nakładowa W. Jakowickiego

Warszawa, Bracka 23.

Poleca wszelkie wydawnictwa polskie, załatwia wszelkie sprawy w zakres księgarstwa wchodzące. Wysyła na prowincję. Zakłada biblioteki. Przyjmuje prenumeratę pism. Udziela objaśnień w zakresie księgarstwa.

Katalogi dostarcza na żądanie.

76

Loterja Klasowa na Inwalidów Wojennych w Królestwie Polskiem

(2-ga Loterja Klasowa Legionów Polskich)

WARSZAWA.

TRĘBACKA Nr. 2.

32.000 losów, z których połowa i premia wygrywają w 5 klasach

3 miliony 335,000 marek.

Losy dzielone na połówki, ćwiartki i ósemki.

Cena losu w każdej klasie 26 marek

$\frac{1}{2}$ losu — 13 mk.; $\frac{1}{4}$ losu — 6 mk. 50 fen.; $\frac{1}{8}$ — 3 mk. 25 fen.

Ciągnienie I klasy 22 i 24 maja 1918

Dochód z loterii przeznaczony na polskich inwalidów wojennych oraz weteranów 1863 r.

14

Cukiernia L. LOURSE

Egzystuje od r. 1821.

Hotel Europejski — Warszawa.

Cukiernia B. SEMADENI

Egzystuje od r. 1827.

Teatr Wielki — Warszawa.

16

TOWARZYSTWO AKCYJNE

WIKTOR MATYJEWICZ

poleca kawę, herbatę i wyborowe surogaty kawy

Sklepy własne w Warszawie: Grzybowska 37, Marszałkowska 129, Marszałkowska 50, Marszałkowska 98, Bagatela 12a, pl. Trzech Krzyży 11, Krucza 36, Chmielna 16, Nowy-Swiat 53, Kr.-Przedm. 23, Leszno 114, Długa 29, Senatorska 24, Targowa 12, w Łodzi: Piotrkowska 13, w Częstochowie: Aleja II № 32.

17

WARSZAWSKI Syndykat Rolniczy

WARSZAWA Włocławek, Kutno, Łowicz, Sochaczew,
KOPERNIKA 30 Grodzisk, Lipno, Pułtusk, Mińsk Mazow.

P O L E C A

MASZYNY i NARZĘDZIA ROLNICZE

PIRWSZORZĘDNYCH FABRYK
NA WSZYSTKIE SEZONY

ŻNIWIARKI DEERINGA

MŁOCARNIE PAROWE:

GARRETA HOFHERR & SCHRANTZ'A

WIALNIE I MŁYNKI **Br. ROEBER**

PŁUGI ZAWADZKIEGO i SCHÜTZ & BETHKE

SIEWNIKI

MELIHARA i PRACNERA

OBSYPNIKI i WYPIELACZE

Wirówki „Alfa Laval”

PIECE do wypieku chleba i t. p.

SUSZARNIE do owoców.

STEFANJA BOJARSKA:

Galicja Cena 1 mk. 90 fen.

Wielkopolska Cena 4 mk.

Wydawn. KSIĘGARNI KRONIKI RODZINNEJ

w Warszawie,

Plac Zamkowy (Podwale 4).

Do nabycia we wszystkich księgarniach w kraju.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

Wacława Perendyka

Warszawa, Senatorska 8.

Powyższa firma założona w czasie wojny pozyskała sobie ogólne uznanie za dobre materiały oraz fasony, jako też z racji cen przystępnych.

19

Bank Zachodni

w WARSZAWIE, ul. Fredry Nr. 6.

I-y ODZIAŁ MIEJSKI

Marszałkowska 98 (róg Jerozolimskiej)

ODDZIAŁ W ŁODZI

Piotrkowska 52.

20

TOWARZYSTWO WZAJEMNEGO
UBEZPIECZENIA OD OGNI

„SNOP”

WARSZAWA, UL. TRAUGUTTA № 3.

Ubezpiecza wszelkiego rodzaju budowle i ruchomości: wiejskie, miejskie i przemysłowe, na zasadzie współdzielczości, zapewniając członkom Towarzystwa zwrot zysków.

21



Teatr „STYLOWY”

Marszałkowska 112

30

RENDEZ-VOUS ELEGANCKIEGO ŚWIATA.

Demonstruje zawsze nowości sztuki kinematograficznej.

MAGAZYN MEBLI I ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORACYJNY

25

„LUDWIK ORTHWEIN”

MAZOWIECKA 2.

Poleca najwytworniejsze meble.

DOM HANDLOWY

Bracia Országh

WARSZAWA

ul. Leszno Nr. 15 (dom własny).

Skład hurtowy towarów galante-
ryjnych, trykotowych i zabawek.

26

Obecna wojna światowa wykazała całą doniosłość ubezpieczenia na życie.

Polskie Tow. Ubezpieczeń „PRZEZORNOŚĆ”

przyjmuje na dogodnych warunkach

Ubezpieczenia na Życie, Kapitałów, Rent i od Wypadków.

Posagi dla dziewcząt, stypendja dla chłopców.

Biuro dyrekcji w Warszawie, Mazowiecka 22.

AGENTURY W MIASTACH KRÓLESTWA.

W ŁODZI Przedstawicielstwo Główne, ul. Andrzeja 2.

24

Jan Matuszewski

33 Chmielna 33.

FILJA:

154 Marszałkowska 154.

POLECA: Trykoty własnej produkcji w dużym wyborze i po cenach umiarkowanych. 22



WILCZA 27.

Jedyna

chrześcijańska

„ZELOWNIA POLSKA”

jest w możności zelować najtaniej, z prawdziwej skóry i fibry. Kupuje, sprzedaje używane i nowe obuwie. Filji nie posiada. 28

L. WRÓBEL

KR. - PRZEDMIEŚCIE 25.

POLECA:

Kawę żołądźliową własnej palarni, zatwierdzoną przez Urząd Zdrowia, i oryginalną. Wina węgierskie i t. p. Herbatę własnego pakowania, koniaki oraz likiery francuskie etc., etc.

CENY NIZKIE. — EKSPEDYCJA WZOROWA. 27



Warszawskie Towarzystwo
HANDLU HERBATĄ

A. Długocki, W. Wrześniewski i S-ka

SPRZEDAŻ
HURTOWA
I DETALICZNA.

Moniuszki 3.

Jedyna polska w Królestwie Polskiem hurtownia handlu herbatą. 31

MLEKO

z pełną zawartością tłuszczu

sprzedaje 37

sklep majątku GLINKI

Warszawa, Mokotowska 61.

Fabryka i Magazyn wyrobów jubilerskich

L. LIPIŃSKI

egzystuje od roku 1875

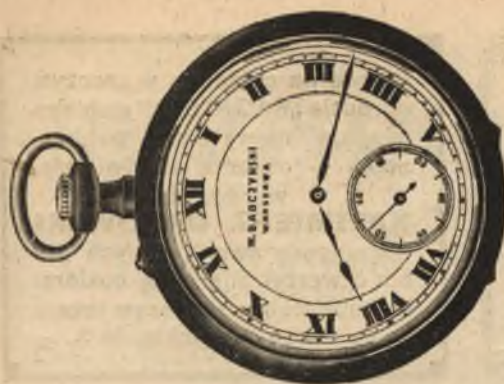
ulica Wierzbowa Nr. 7

(Plac Teatralny)

w WARSZAWIE

Telefon Nr. 75-12.

Pracownia przy magazynie. 39



ZEGARKI ORYGINALNE GENEWSKIE.
Z dwuletnią gwarancją.

W. Babczyński

ZEGARMISTRZ 71

Warszawa, Krak.-Przedmieście 37

WIELKI WYBÓR

BRANSOLET

Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu

istniejące od r. 1872

PLAC WARECKI № 7, DOM WŁASNY. 5

TRYKOTAŻE i POŃCZOCHY

POLECA: 53

firma Zygmunt Chyliński
wł. R. GINTER i H. RYBARSKA

MARSZAŁKOWSKA 122.

WYROBY WŁASNE

DOM HANDLOWY F. JĘDRZEJOWSKI i S-ka

Tow. Firm. Kom.

Warszawa, Długa № 21. Tel. 208-26, 284-22.

Składy towarów bławatnych, galanter. i norymberskich

FABRYKA BIELIZNY MĘSKIEJ

— Sprzedaż wyłącznie hurtowa. — 7

POLSKA SKŁADNICA POMOCY SZKOLNYCH

WARSZAWA,

Krak.-Przedmieście 7, poleca:

Mebłe szkolne, pomoce naukowe i higieniczno - lekarskie, książki, druki szkolne, materiały piśmienne, buchalteryjne, rysunkowe i wogóle wszystko wchodzące w zakres potrzeb szkolnych i kancelaryjnych z dostawą do wszystkich miejscowości na prowincji.

29

Wytworna cukiernia w uroczym ogrodzie „BAGATELA” ulubione miejsce najwytworn. publiczności — otwarta od Kwietnia.

WŁAŚCICIEL

KAZIMIERZ DAKOWSKI

dla wygody swych stałych gości otworzył filję swej cukierni w elegancko urządzonym lokalu na Placu Wareckim № 3. 35

Znana w szerokich kołach stolicy

Cukiernia ZIEMIAŃSKA

HEBRECHT i SKĘPSKI, Mazowiecka 12.

34

KSIĘGARNIA

E. WENDE i S-ka

w Warszawie, Kr.-Przedm. 9.

Ostatnie wydawnictwa:

Dr. Maryan Kukiel

major w. p.

Dzieje wojska polskiego

z planami bitew

T. I. Mk. 9 —

Włodzimierz Dzwonkowski

ILUSTROWANA

Historia Polski

Kurs wyższy do użytku słuchaczów wyższych zakładów naukowych, nauczycieli szkół średnich i szerszych kół inteligencji.

36

T. I. Mk. 7 50.

ANCYJNE TOWARZYSTWO

Elektryczność

ZARZĄD w Warszawie,

Czackiego 18.

Zakłady Elektrochemiczne w Ząbkowicach wyrabiają:

Chlorek wapna.

Sodę kaustyczną.

Ług sodowy.

Karbid.

Węgłe do lamp łukowych elektrycznych.

Wyroby nagrodzone **MEDALAMI**
ZŁOTYMI na wystawach
w Petersburgu 1908 r.
w Częstochowie 1909 r. i w Odesie
1910 r.

38

STANISŁAW SZALAY

Marszałkowska 110.

Chmielna 40.

**Skład aparatów fotograficznych, latarni
czarnoksiężskich dla szkół i odczytów.**

Pracownia i wypożyczalnia przezroczy.

32

Towarzystwo Akcyjne Fabryki Portland Cementu

„WYSOKA”

ZARZĄD w Warszawie: Mazowiecka 7.

38

BANK PRZEMYSŁOWY WARSZAWSKI

WIERZBOWA 11.

ODDZIAŁY MIEJSKIE:

1) Krakowskie-Przedmieście 13.

2) Marszałkowska 124.

ODDZIAŁ w PŁOCKU.

40

Warszawskie Akcyjne Towarz. Pożyczkowe

na zastaw ruchomości

Warszawa

Kantor Główny, pl. Warecki № 2.

Oddział I ul. Przejazd № 1.

Oddział II ul. Nowo-Miodowa № 2.

Łódź

41

Oddział I ul. Zachodnia № 31.

Oddział II ul. Pasaż Mejera № 11.

Kawiarnia „USTRONIE”

Stanisława Szafrana

**poleca śniadania, obiady i ko-
lacje po najniższych cenach.**

Nowy-Świat 67

(były pałac hr. Zamoyskich).

42

Bar artystyczny pod „WIECHĄ”,

Kazimierz Jarczewski (ul. Sienkiewicza 12).

Taniol Smacznie! i Zdrowo!

Zjeść można śniadania, obiady i kolacje.

43

Wieczorem Koncerty.

Gabinety.

Od ul. Moniuszki.

„BACHUS” „ERMITAGE”

ul. Marszałkowska Nr. 102.

ul. Marszałkowska róg Widok Nr. 25

Handel Win i Towarów Kolonialnych Winiarnia i Restauracja I-ej kategorii
polecają **WSZELKIEGO GATUNKU WINA i SPIRYTUALJE**

Z PIWNIC DOMU HANDLOWEGO

„MAURYCY SEYDEL i S-ka”

ulica Senatorska Nr. 36/38.

44

„BAR 90”

ul. Marszałkowska № 90.

45

**HANDEL TOWARÓW
GASTRONOMICZNYCH**

POD FIRMĄ:

Kuryluk i Rogulin

Plac Mirowski „Hale Targowe”

POLECA artykuły spożywcze w naj-
lepszych gatunkach i po możliwie
najniższych cenach.

68

Bank Kredytowy w Warszawie

ul. Czackiego № 17.

W zakres operacji Banku wchodzi wszelkie czynności
bankowe.

Prezydjum rady: **Henryk Barylski, Kęstę Franciszek Radziwiłł,
Adam hr. Żółtowski.**

Dyrektor Zarządzający: **Leonard Bobiński.**

48

V. Dyrektor: **Wacław Kryeński.**

Zakład Ogrodniczy

„Warszawianka“

Krak.-Przedmieście № 7. 33

Bukiety, Wieńce, Dekoracje, Kwiaty
cięte i doniczkowe, Dostawa drzew
owocowych, ozdobnych i warzyw.

Towarzystwo Akcyjne

Kawęczyńskich Zakładów Cegielnianych

Kazimierza Grąncowa

Zarząd w Warszawie

ul. Kredytowa Nr. 16. 49

Tow. Akc. Mirkowskiej Fabryki Papieru

Zarząd w Warszawie, ul. R. Traugutta № 5.

FABRYKA W JEZIORNIE

Wyrabia: bibułki papierosowe i kopjalne
papiery listowe
brystole

papiery kancelaryjne wyższ. gatunków

„ kopertowe

„ rejestrowe 47

„ czerpane, dokumentowe i t. p.

Egzystująca od 1851 roku

FABRYKA CZEKOLADY

E. W E D E L

poleca

znanej dobroci. cukry i biszkopty.

Sklepy własne: Szpitalna 5,
Wierzbowa 1 i Bielańska 13. 50

Teatr „CZARNY KOT“

Marszałkowska 125

pod kierunkiem literackim

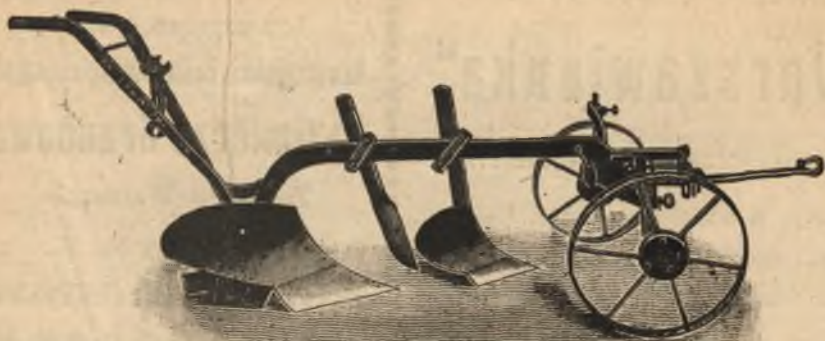
K. Wroczyńskiego.

Pierwszorzędne atrakcje artystyczne.

Codziennie po 2 przedstawienia:
o godz. 7-ej i 9-ej wiecz.

w Niedziele i święta po 3 przedstaw.
o g. 5-ej, 7-ej i 9-ej w. 51

Kasa czynna od 12 do 2 i od 5-ej pp.



Jan Zawadzki i S-ka

FABRYKA NARZĘDZI ROLNICZYCH

w Warszawie.

Rakowiecka 19.

22

Bank Handlowy w Warszawie

KAPITAŁ ZAKŁADOWY:

Rb. 20.000.000.— = M. 43.200.000.—

FUNDUSZ REZERWOWY:

Rb. 10.367.218.10 = M. 22.393.191.10

ODDZIAŁY: w Będzinie, Częstochowie, Kaliszu,
Kijowie, Lublinie, Łodzi, Piotrogro-
dzie, Sosnowicach i Włocławku.



Składy papieru i materiałów piśmiennych

Stowarzyszenia Spółdzielczego

„NASZ SKLEP”

W Warszawie ul. Jasna 1 (gmach Banku Tow. Spółdzielcz.)
ul. Sienna 1 (róg Marszałkowskiej)

Fabryka kajetów, Materiały dla szkół i ochron

Najlepsze źródło zakupów dla Kół Polskiej Macierzy Szkolnej 23

RESTAURACJA

PRZY HANDLU WIN

Edward Żelechowski

(dawniej EDMUND LANGNER)

WARSZAWA,
N.-SENATORSKA 10.

Poleca wszelkie nowalje sezonowe.

73

BAR

Amerykański w Warszawie

ul. Senatorska 27.

Poleca zdrowe i tanie
obiady, oraz kolacje.

74

CUKIERNIA

63

K. Malankowskiego

NOWY-ŚWIAT 26

WYROBY WŁASNE

Sala bilardowa I-e piętro

Fabryka korków

J. LANGLEBEN

ul. Chłodna № 5

65

„KONRAD”

RESTAURACJA

NOWY-ŚWIAT 64 66

— Zdrowo! — Tanio! —

Skromnie i przyzwoicie!

„Bar Wiedeński”

(Józef Herbst) ul. Trębacka 11,

poleca smaczne i zdrowe śnia-
dania, obiady i kolacje 67

w każdą zaś sobotę Serdelki

W. Kurkiewicz

Skład wyrobów tytuniowych

Krak. - Przedmieście Nr. 9.

46

**Salon artystyczny Zjednoczo-
nych Artystów-Malarzy**

pod firmą:

„A. ZIENIEWICZ“

**Wyprzedaż dzieł najwybitniej-
:: szych Artystów-Malarzy. ::**

ul. Złota Nr. 16.

69

WARSZTATY ELEKTROTECHNICZNE

Inżyniera STEFANA MECNERA

Wykonują remonty dynamo maszyn i elektromotorów.

**Przewijanie tworników, dorabianie kolektorów i t. p. robót
warsztatowych, wchodzących w zakres elektrotechniki.**

Mazowiecka 11, w Warszawie.

64

DOM BANKOWY

S. NATANSON I SYNOWIE

WARSZAWA □□□□□ TRUGUTTA 5

61

Towarzystwo Akcyjne Fabryki Cukru i Rafinady

„JÓZEFÓW“

Zarząd w Warszawie, ul. Trębacka 15

57

ZAŁOŻONY PRZEZ TOW. KRED. ZIEMSKIE

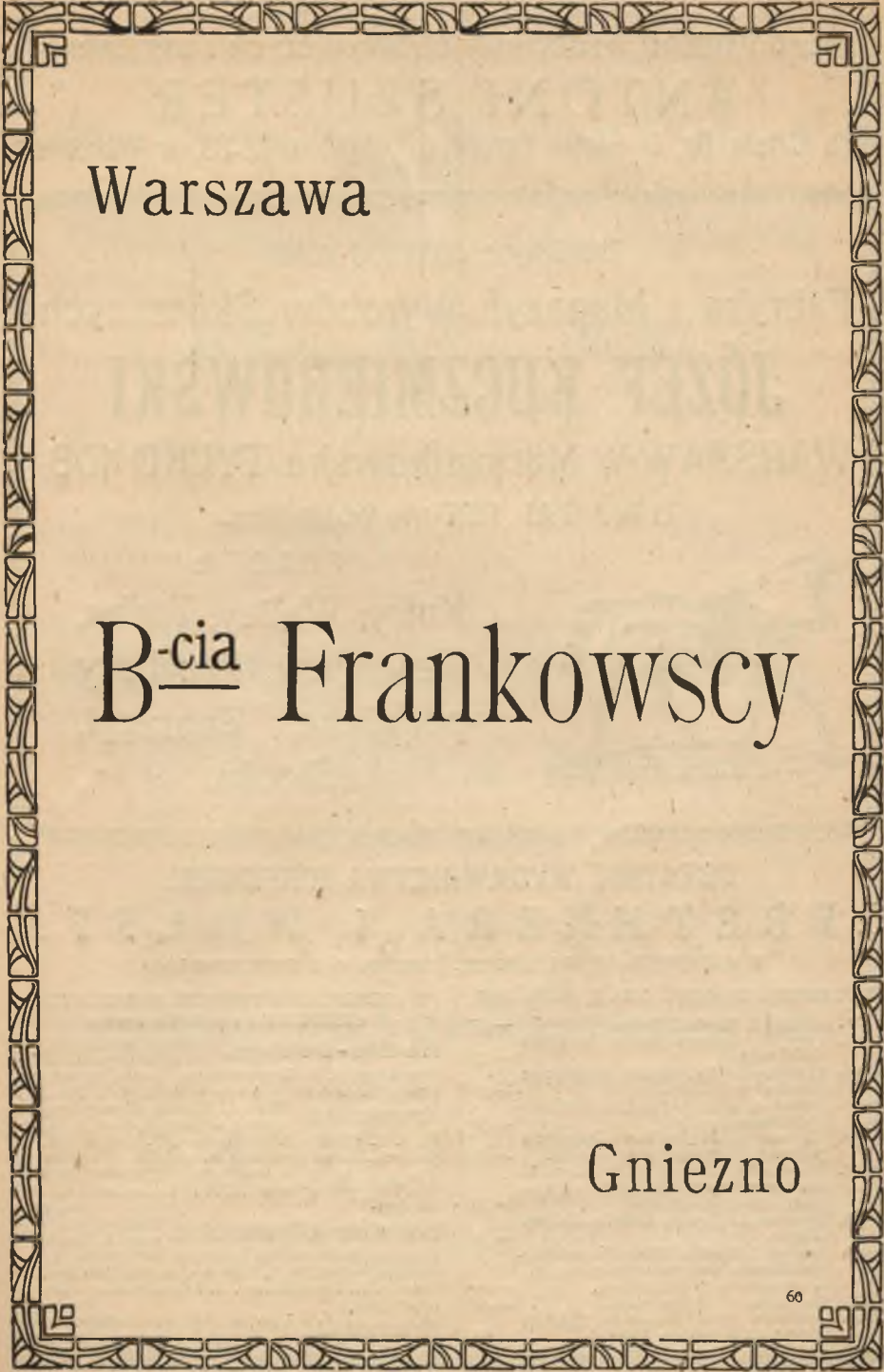
BANK ZIEMIAŃSKI

Kapitał zakładowy M. 6.480.000.

WARSZAWA, MAZOWIECKA 16.

**Ajentyry: w Kaliszu, Kielcach, Lublinie, Płocku i Radomiu. Przyjmuje: wkłady
na oprocentowanie, depozyty na przechowanie, wydaje: pożyczki hipoteczne, za-
liczenia na papiery procentowe 5% obligacje zabezpieczone na maj. ziemsk.,
otwiera rachunki bieżące, pośredniczy w kupnie i sprzedaży papierów ⁰/₀ i monet.**

56



Warszawa

B^{-cia} Frankowscy

Gniezno

SKŁAD PAPIERU, REGESTRÓW GOSPODARCZYCH I DRUKARNIA

ANTONI SZUSTER

70

ulica Czysta Nr. 1 (Hotel Europejski), telefon 12-23, w Warszawie.

Istniejące od 1860 roku

Fabryka i Magazyn Wyrobów Skórzanych

JÓZEF KUČZMIEROWSKI

WARSZAWA, Marszałkowska TYLKO 108.

UWAGA! Filji nie posiadam.

POLECA:

Kufry, Walizy, Torby,
Nesessery, Przybory
podróżne, Zaprzęgi,
Siodła.



OSTATNIE WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE, ŁODZI I LUBLINIE. KRAKÓW G. G. GEBETHNER I S-ka

BIBLIOTECZKA UNIERS. LUD. I MŁOD. SZK.

- | | | |
|---------|--|-----|
| Nr 184. | Szujski J. Chocim i Cecora. | —25 |
| Nr 185. | Tadeusz Rejtan na sejmie 1773 roku. | —25 |
| Nr 188. | Chrzanowski Ign. Liryka patriotyczna Asnyk A. (El...y). Poezje patriotyczne i społeczne (wybór). | —20 |
| Nr 189. | Szekspir W. Juliusz Cezar. Tragedja w 5 aktach. Tłumaczenie A. Pajgerta. | —50 |
| Nr 190. | Hofmanowa z Tańskich Klementyna. Obiad czwartkowy. Opis wyjęty z nieznanych dotąd pamiętników. | —60 |
| Nr 191. | Opman A. (Or-Ot). Pieśni o Księżu Józefie. | —30 |
| Nr 193. | Szujski J. Bartosz Głowacki (ostatnia nobilitacja). Ustęp z dziejów roku 1794. Z przedmową H. Mościckiego. | —50 |
| Nr 194. | Gomulicki W. Wybór poezji. | —40 |
| Nr 195. | Smoleński Wład. Znaczenie Tadeusza Kościuszki w dziejach polskich. | —50 |
| Nr 202. | Smoleński Wład. Znaczenie Konstytucji 3-go Maja. | —25 |
| Nr 205. | | —25 |

W „BIBLIOTECZCE PAMIĄTEK NARODOWYCH”
GEBETHNERA I WOLFFA wyszły:

- Na San-Domingo.** Obrazy i wspomnienia B. Wierzbickiego, K. Małachowskiego, J. F. Kierzkowskiego. Zebrał, przedmową i przypiskami opatrzył Artur Opman (Or-Ot). Mk. 2 25
- Promieniści** Filomaci-Filareci. Obrazy i wspomnienia I. Domejki, T. Zana, J. Chodźki, A. E. Odyńca, A. Mickiewicza, T. Massalskiego, J. Lelewela. Zebrał i objaśnił H. Mościcki Mk. 2 25
- Trzeci Maj.** Z dodatkiem Katechizmu Narodowego (1781). Z przedmową H. Mościckiego. Mk. 2 25
- Księstwo Warszawskie.** Wspomnienia i obrazy L. Dembowskiego, A. Białkowskiego, J. Ursyna-Niemcewicza, J. Zaluskiego, R. Soltyka, K. Koźmina, A. Białkowskiego, H. Brandta, H. Dembińskiego, H. Kołaczewskiego. Zebrał Artur Opman Mk. 2 25
- Kościusko.** Listy, odezwy i wspomnienia. Zebrał H. Mościcki. Mk. 2 25
- Unici:** Wspomnienia i obrazy. Zebrał i przedmową poprzędził H. Mościcki. Mk. 2 50



Polska
Krajowa



Loteria
Klasyczna

R. G. O.

(Rady Głównej Opiekuńczej)

ZARZĄD — Warszawa, Kredytowa 4.

50000 losów 25000 wygranych i 1 premja.

Wielka wygrana 500,000 Mk.
(pół miliona marek)

i wiele innych

będzie rozlosowane w ciągnieniu

5-ej klasy od 1 do 25 czerwca r.b.

!! Kup D Z I Ś los !!

!! co drugi wygrywa !!

KOSZULKI ŻAROWE

o wielkiej wytrzymałości i znacznej sile światła

POLECAJĄ PO NASTĘPUJĄCYCH CENACH:

KOSZULKI DO PALNIKÓW STOJĄCYCH „AUERA”

„Mikro”	Mk. 0.75
„Bebe”	„ 0.90
„Normalna”	„ 0.90

KOSZULKI DO PALNIKÓW WISZĄCYCH „GRAETZ’A”

Nr. 62	Mk. 0.90
Nr. 37 „Oszczędnościowa”	„ 0.90
Nr. 36 „Liliput”	„ 1.—
Nr. 35 „Normalna”	„ 1.—

ZAKŁADY GAZOWE w Warszawie

SKŁAD GŁÓWNY: **KREDYTOWA Nr. 3.**

F I L J E:

Marszałkowska 36
Pl. Trzech Krzyży 8
Dzika 28

Chłodna 39 A
Ś-to Jerska 22
Praga, Targowa 30.

13